

PAWEŁ SUŁKOWSKI



HOMO ILUM
TAJEMNICE SUMERU I

 WYDAWNICTWO
POLIGRAF

PAWEŁ SUŁKOWSKI

HOMO ILUM

TOM I

ŚWIT 1



Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

www.pawel-sulkowski.pl

© Copyright by Wydawnictwo Poligraf, 2015

© Copyright by Paweł Sułkowski, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment ani zdjęcie nie mogą być publikowane ani reprodukowane bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Izabela Surdykowska-Jurek

Korekta: Klaudia Drózdź, Bożena Dembińska

Skład: Wojciech Ławski

Książka wydana
w Systemie Wydawniczym Fortunet™
www.fortunet.eu

ISBN: 978-83-7856-355-6

Wydawnictwo Poligraf

ul. Młyńska 38

55-093 Brzezia Łąka

tel./fax (71) 344-56-35

www.WydawnictwoPoligraf.pl

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

www.pawel-sulkowski.pl

***Uczą się o starożytnych Grekach,
Egipcjanach i oczywiście o Biblii
– ale prawie nic nie wiedzą
o najstarszej cywilizacji świata,
ponieważ kroniki Sumerów
stanowią zagrożenie dla dogmatów
współczesnych religii.***

*Sir Laurence Gardner
„Potomkowie Dawida i Jezusa”*

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

www.pawel-sulkowski.pl

OD AUTORA

Kiedyś w dyskusji na poważne tematy padło pytanie o Sumer. Wiedziałem, że kolebka cywilizacji, że Mezopotamia, czyli Irak, i że epos o jakimś Gilgameszu. Jeszcze zikkurat, wieża Babel, Ur, Uruk i pismo klinowe.

Malo? Wtedy nie było szybkiego Internetu i Wikipedii.

Później dostałem w PDF – dzięki Ci, Jarku – „Dwunastą planetę” Zecharii Sitchina. To była wiedza, której szukałem. Wiedza niepopularna, jakby zakazana. Ba, oficjalna nauka się obruszy, powie, że to nie żadna wiedza. Że ignorancja, brak poszanowania dla dorobku uznanych autorytetów, wszystko, tylko nie nauka. A najprędzej zignoruje, przemilczy. Nie ma.

Kupiłem wszystkie książki Sitchina. Dziesięć tomów. W miarę ich zgłębiania świat stawał się piękniejszy, bo bardziej rozumiał.

Jest parę polemicznych wątków. I u Sitchina, i u szkockiego biografy rodów królewskich Gardnera, który również w sumeryjskie nuty uderza. Nie są jednak na tyle istotne, byśmy musieli odrzucić całość.

Ta książka to czytało do pociągu albo do poczekalni u dentysty. Jeżeli jednak dzięki niej ktoś zainteresuje się historią Sumeru, jeżeli kogoś wciągnie, tak jak było ze mną po lekturze – toutes proportions gardées – Sitchina czy Gardnera, tym większa satysfakcja dla mnie.

„This is the dawning of the Age of Aquarius” śpiewali The 5th Dimension w erze dzieci kwiatów już w 1969 roku.

Ale Era Wodnika – sumeryjskiego boga Enki – to nie czas. To stan świadomości. Każdy go osiągnie, z tym że nie wszyscy jednocześnie. Niektórzy dość późno. Wielu za późno, by zdążyć zrozumieć...

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

www.pawel-sulkowski.pl

ŹRÓDŁA, Z KTÓRYCH KORZYSTAŁEM

Sumeryjskie i egipskie terminy, ich tłumaczenia, podobnie jak detale dotyczące kultury Sumeru i Egiptu, pochodzą z: Zecharia Sitchin, „Genesis jeszcze raz” (1997), „Wojny bogów i ludzi” (2001), „Dwunasta Planeta” (2002), „Kiedy zaczął się czas” (2002), „Schody do nieba” (2002), „Boskie spotkania” (2003), „Zaginiona księga Enki” (2004). Wszystkie wydane w Wydawnictwie Prokop. W nawiasach podałem rok wydania polskiego tłumaczenia. Z „Dwunastej Planety” pochodzi hebrajski tekst, rozpoczynający Księgę Genesis, oraz pomysł jego modyfikacji. Ze „Schodów do nieba” zaczerpnąłem historię fałszerstw dokonanych przez Howarda Vyse'a w Gizie i w Sakkarze oraz cytaty inskrypcji ze steli sławiącej faraona Chufu. Z „Zaginionej księgi Enki” zacytowałem opis zagłady Sumeru. Tam też znalazłem historię wszystkich wcześniejszych wydarzeń, od pojawienia się Anunnaki na Ziemi, przez stworzenie człowieka, aż do upadku pierwszej cywilizacji.

Informacje o wimanach i podróży księcia Ramy z Lanki do Ajo-dhji oraz fragmenty cytatów z „Ramajany” i „Mahabharaty” zaczerpnąłem z David Hatcher Childress, „Wimany i inne statki powietrzne hinduskich bogów” (polski przekład 2001, Wydawnictwo Amber).

Opis tajnego eksperymentu „Filadelfia”, który miał miejsce w 1943 roku, znalazłem w Joseph P. Farrell, „Gwiazda śmierci z Gیزی” (polski przekład 2003, Wydawnictwo Amber). Tam też było mnóstwo szczegółów na temat budowy i przeznaczenia Wielkiej Piramidy, między innymi hipoteza wyjaśniająca sposób wykonania Sarkofagu znajdującego się w Komnacie Króla.

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

www.pawel-sulkowski.pl

Koncepcja i chronologia stopniowego wyposażania gatunku ludzkiego w boskie geny oraz ewoluowanie imienia boga Hebrajczyków pochodzą z Laurence Gardner, „Potomkowie Dawida i Jezusa” (polski przekład 1999, Wydawnictwo Amber), a oryginalne brzmienie imienia Jezusa z „Krew z krwi Jezusa” tego samego autora (polski przekład 1998, Wydawnictwo Da Capo).

Historię prac archeologicznych prowadzonych w Nippur, plan oraz charakterystykę funkcji tego świętego miasta znalazłem w Gibson McGuire, „Nippur – Sacred City of Enlil”, vol. XIV, Al-Rafidan, 1993, elektroniczna wersja artykułu na stronie <https://oi.uchicago.edu/research/projects/nippur-sacred-city-enlil-0> Oriental Institute, University of Chicago.

Koncepcja budowy działu neutronowego, jako broni doskonałej, ukazała się w artykule „Połączenie ze stwórcą” (1136 numer „Wprost” z 5 września 2004).

Cytaty biblijne pochodzą z „Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu” (polska edycja 1976, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne).

Rozwinięcie skrótu Mossad oraz opis funkcjonowania Lebanon Canadian Bank znalazłem w Yvonnick Denoël, „Sekretne wojny Mossadu” (polski przekład 2013, Wydawnictwo Czarna Owca).

Informacje dotyczące NSA zaczerpnąłem z oficjalnej strony internetowej agencji www.nsa.gov, a te na temat ośrodka w Dimonie, ze stron poświęconych turystyce w Izraelu.

Ośrodek NASA Ames Research Center w Moffet Field w Kalifornii poznałem dzięki oficjalnej stronie agencji www.nasa.gov/centers/ames/home.

Rozwinięcia skrótów Aman, Shin Bet i GRU oraz ich objaśnienia pochodzą ze stron www.wikipedia. Z tego samego źródła zaczerpnąłem dane dotyczące programu kosmicznego Apollo, US Navy, w tym charakterystyki okrętów podwodnych klasy Los Angeles, stref okupacyjnych w Iraku, budowy Wielkiej Piramidy w Gizie, konstrukcji mastaby, charakterystyki samochodu Mercedes-Benz E60 AMG, samolotu Lockheed C-130J Hercules, czołgu M1A1 Abrams, karabinu automatycznego Heckler & Koch, kara-

binu maszynowego M2, samochodu Hummer. Również z Wikipedii pochodzi potężna ilość szczegółów związanych z historią Egiptu, Sumeru, Babilonu, w tym plany miasta Babilon w okresie panowania Nabuchodonozora II.

Przy opracowywaniu tras przejazdu moich bohaterów korzystałem z map Google oraz NAVTEQ Map24. Program Google Earth dostarczył mi zdjęć opisywanych obiektów, a Youtube.com filmów pokazujących polskich żołnierzy w trakcie misji w Iraku.

Przykłady sumeryjskiego i babilońskiego pisma klinowego oraz wiele szczegółów dotyczących kultury materialnej starożytnej Mezopotamii znalazłem na stronach www.ezida.com.

Amerykańskie jednostki miar i ich przeliczniki zaczerpnąłem z www.jaion.pl oraz z Wikipedii.

I

ZAKOŃCZENIE PROGRAMU „STARDUST”

Lato skończyło się wyjątkowo szybko. Był dopiero początek października, a już zaczął wiać silny zachodni wiatr. Słońce nad pustynią było lekko zamglone od niesionej znad dalekiego morza wilgoci i pyłu unoszonego gwałtownymi podmuchami. Dochodziła 16:20.

Major Sawicki, odwrócony plecami do wiatru, zdążył wypalić już trzeciego papierosa, gdy wreszcie na północnym niebie pojawił się maleńki punkcik. Po kilku chwilach urósł do rozmiarów wojskowego helikoptera UH-60 Black Hawk, by za moment, zawisając w powietrzu, ze świszczącym jazgotem opuścić się na ziemię. Dokładnie w sam środek naprędce zaimprovizowanego minilądowiska.

– Nieźle – mruknął z uznaniem Sawicki, bo widać było, jak coraz silniejsze podmuchy spychają maszynę na prawo od celu.

Poprawił wiszącą na ramieniu raportówkę i podszedł nieco bliżej.

Z chmury wirującego pustynnego pyłu wyszli trzej mężczyźni ubrani w ciemne garnitury. Przytrzymując poły marynarek i osłaniając oczy, przygarbieni z obawy, by nie dostać łopatom wirnika, podeszli do wojskowego.

– Pan tu dowodzi, majorze? – zawołał siwiejący gentleman, poprawiając krawat i przekrzykując jazgot silnika.

– Tak. Major Sawicki, Żandarmeria Wojskowa – przedstawił się ubrany w pustynny mundur żołnierz. – Witam w Niffar.

– Dzień dobry. Pułkownik Podgórski, kontrwywiad. Ależ tu wieje!... – Uścisnął mu rękę i przeszedł na angielski. – A to nasi przyjaciele z CIA, prosto z Waszyngtonu.

– Ian Wilson. – Mignął legitymacją wysoki, szczupły, około pięćdziesięcioletni gość w ciemnych okularach, z torbą na długim pasku, zarzuconą na plecy.

Nawet nie spojrzął na Sawickiego, żując gumę i rozglądając się bez przerwy po okolicy.

– Jerry Stewart. – Uśmiechnął się drugi, podając majorowi rękę. – Jestem asystentem inspektora Wilsona.

Ten był znacznie młodszy i bez okularów. Taki typowy chłopak z kalifornijskiej plaży. Mocno zbudowany, spalony słońcem blond przystojniak.

– Witam panów. Zmęczeni? Wypijecie coś najpierw czy od razu idziemy?

– Idziemy... – zdecydował Wilson. – Nie mamy czasu.

– Ja zostaję – powiedział Podgórski. – Chętnie przepłuczę czymś gardło.

– To proszę do tamtego budynku. – Wskazał szarą, odległą o kilkaset metrów nieczynną halę fabryczną z pustymi oczodołami okien. – Tam już na pana czekają... Tędy, proszę – zwrócił się do Amerykanów. – To niedaleko.

Między suchymi kępami trawy i karłowatymi, poszarzałymi od pyłu krzaczkami poprowadził obu wydeptaną ścieżką aż do krawędzi wysokiej skarpy.

– Teren musi być ściśle otoczony. Bardzo ściśle... Niech pan podwoi warty, żeby mysz się nie przecisnęła – instruuował Wilson, jakby był u siebie. – Jeśli ma pan za mało ludzi, przyślemy swoich. Nikt z zewnątrz nie może się tu przedostać. Absolutnie.

Po beżowoszarym, spękany z braku wody i twardym jak beton zboczu zeszli na samo dno wielkiego, w połowie skrytego już w cieniu, kolistego wyrobiska. Potem jeszcze do wyrwanego jakąś potężną eksplozją sporego leja, wokół którego spacerowało dwóch żołnierzy z automatami w dłoniach. Z samego dna owego leja wystawały drobno żłobkowane kolumny, stojące na płycie częściowo

przysypanej grudkami suchego, wyglądającego jak żużel mułu. Kolumny, w połowie przykryte ukruszoną płytą dachu, chroniły wejścia do jakichś podziemi. Wszystko wykonane było z jasnoszarego kamienia, bogato inkrustowanego poprzyklejanym mułem. Otwarte go wjazdu do katakumb pilnowali kolejni dwaj wartownicy. Kiedy goście zeszli na dół, odsunęli się nieco, robiąc miejsce.

– Wodę już wypompowaliście? – zapytał Stewart.

– Tak. Dwie godziny temu skończyliśmy... Ale to chyba nie woda – powiedział Sawicki.

– A co?

– Nie wiem. Mamy tego prawie pół cysterny. Możecie wziąć próbki.

– Musimy zabrać wszystko. Nie tylko próbki. Jutro ktoś po to przyjedzie – wyjaśnił.

– Światło jest w środku? – Wilson pokazał przewód znikający we włazie.

– Tak. To jeszcze ich robota.

– Dobra, to wchodzimy. Niech pan prowadzi.

Sawicki przełożył raportówkę na drugie ramię, usiadł na kamiennej podłodze, nogi spuszczać do środka, i zaczął znikać w czarnej czeluści. Za nim wszedł Wilson i wreszcie Stewart.

W środku panował prawie całkowity mrok. Było duszno i sympatycznie jak w starym grobowcu.

Kiedy po dłuższej chwili oczy przyzwyczyły się wreszcie do ciemności, goście zobaczyli, że znajdują się w bardzo wąskiej i krętej, wyłożonej kamiennymi płytami klatce schodowej. Płyty, kiedyś pewnie idealnie spasowane i gładkie, w wielu miejscach były wyszczerbione i popękane.

Najpierw Wilson, potem Stewart, jeden za drugim, w kompletnej ciszy, schodzili ostrożnie po przysypanych grubą warstwą pyłu kamiennych schodach, za idącym przodem Sawickim. Ciągle w dół i ciągle w kółko. Co kilka metrów w zwisający z góry przewód powpinane były niewielkie lampki, oświetlające jako tako drogę. W ich mizernym świetle można było dostrzec przykrywający stopnie niczym kobierzec pył, w środkowej części wydeptany

dziesiątkami, o ile nie setkami, wcześniejszych butów, co wskazywało, że ten niewygodny, podziemny szlak w ostatnim czasie był chyba mocno uczęszczany.

Wreszcie Stewart odetchnął, bo schodzenie jeden za drugim cały czas w kółko w tym klaustrofobicznym kieracie nie należało do najprzyjemniejszych, a właśnie dotarli do jakiegoś wyjścia.

– Już jesteśmy na dole? – zapytał z ulgą, ale i z lekkim niedowierzaniem. Miał wrażenie, że od samej góry zrobili dopiero z sześć pełnych pętli.

– Nie, nie. Jeszcze nie – rzucił Sawicki, ruszając dalej. – To nawet jeszcze nie półmetek.

Szczęśliwie od tego miejsca robiło się już znacznie szerzej. Klatka schodowa była prostokątna, z podestami na półpiętrach i piętrach, z wykutą w kamieniu ażurową balustradą. Najważniejsze, że schody nie były już tak strome jak jeszcze przed chwilą.

Od kiedy przecisnęli się przez ten właz na górze, minęło już dobrych kilka minut. Tymczasem Sawicki ciągle prowadził ich w dół. Na kilku mijanych poziomach wyraźnie widać było wejścia prowadzące do bocznych korytarzy. Niektóre nawet były oświetlone słabiutkimi lampkami. Inne straszyły nieprzeniknionym mrokiem.

Amerykanie jednak nie mieli ani czasu, ani ochoty, by pytać, dokąd one prowadzą, by przyglądać się perfekcyjnie wykonanym kamiennym detalom, przepięknie rzeźbionym balustradom. Sprawiali wrażenie, jakby ta zupełnie wyjątkowa, niesamowita budowla, w całości zagrzebana gdzieś na irackiej pustyni pod tysiącami ton mułu i odkryta przecież dopiero niedawno, ani trochę ich nie interesowała. A może znali ją doskonale i dlatego o nic nie pytali? Ale kto, u licha, miałby ich z nią zapoznać, skoro byli tu pierwszy raz?

– Ilu pańskich ludzi ich widziało? – odezwał się Wilson, przerywając ciszę.

– Z moich nikt nawet nie był w środku – odpowiedział Sawicki, nie zatrzymując się ani na chwilę. – Czterej żołnierze kapitana Brzezińskiego podobno schodzili na dół. Trzej tylko do tej świątyni. Dalej już nie.

– Tego, który był tu przed panem?

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

- Tak.
- Gdzie oni teraz są?
- Jeden ciągle tu, na miejscu. Tylko on wszystko widział. Pomyślałem, że będziecie chcieli z nim pogadać. To bardzo rozsądny sierżant.
- A reszta?
- Polecili do Bagdadu. Rano zabrał ich wasz chinook. Nie chcieliśmy, żeby kontaktowali się z pozostałymi.
- Bardzo dobrze... Cholernie to głębokie.
- Tak. Dziewięć pięter i jeszcze ten kierat na górze... To piętro było zalane, tu była ta dziwna woda. – Sawicki przystanął na chwilkę i odwrócił się do Amerykanów. – Wszystko jest jeszcze mokre.
- Wilson przejechał palcami po kamiennej ścianie.
- Tak...
- Trzeba było się rozebrać i nurkować. Przepłynąć w dół prawie dwa piętra, zanim można było znowu złapać oddech.
- Zeszli niżej.
- A tu już nawet nie ma śladu, zobaczcie – pokazał. – Wszystko zupełnie suche. Tu można było już normalnie oddychać... Rozumiecie coś z tego?
- Nie odpowiedzieli, więc sam dodał:
- To w zupełnej sprzeczności z logiką. I z prawami fizyki... Cała ta świątynia jest jakaś niesamowita. Gdyby tu wpuścić archeologów...
- Co pan plecie?! – zgromił go Wilson. – Niech pan nawet o tym nie myśli!
- Nie wcześniej, majorze, niż za kilkanaście lat. – Tonował nieco delikatniejszy Stewart. – O ile w ogóle. Na razie to tu jest tylko ta stara cegielnia i pustynia... Cegielnia i pustynia. Tylko tyle.
- Rozumiem, że w środku jesteście sami? – Upewnił się Wilson.
- Zupełnie sami.
- Majorze. – Zatrzymał się na moment, zdejmując dopiero teraz ciemne okulary. – To, co się tutaj stało, co się tu działo przez tych ostatnich kilka tygodni – mówiąc, potrząsał okularami tuż przed

nosem stojącego o dwa stopnie niżej Sawickiego, jak nauczyciel besztający niegrzecznego ucznia – nie ma prawa wydostać się za to pieprzone, dziurawe ogrodzenie na górze. Jasne?!... Jeśli dojdzie do jakiegokolwiek przecieku, jakiegokolwiek – powtórzył z naciskiem – zapłacimy za to głowami... I my, i wy. Tego może być pan pewien. – Skończył i założył okulary.

– Zaraz po zakończeniu misji – dodał Stewart, kiedy znowu ruszyli – wszyscy pańscy ludzie zostaną przerzuceni do naszej bazy w Górach Skalistych. Odbędą tam specjalny trening psychologiczny...

Sawicki chciał dorzucić, że po naszymu to się nazywa „pranie mózgu”, ale w porę zamilkł. Tym bardziej że Stewart jeszcze nie skończył.

– Pan zresztą też... Nawet my.

Klatka schodowa właśnie się skończyła. Oświetlenie również. W końcu byli na samym dole. Dziewięć pięter i kierat na górze. Razem około czterdziestu metrów, czyli jakieś sto dwadzieścia stóp poniżej kamiennego wjazdu.

Na tym poziomie stropy były znacznie niżej niż na wyższych piętrach. Najwyższy z całej trójki Wilson musiał się aż przygarbić, by głową nie szorować o sufit. Zrobiło się dziwnie nieprzyjemnie, ciemno i jeszcze bardziej duszno. Sawicki zatrzymał się. Z raportówki wyciągnął latarki i dał każdemu.

W silnym snopie halogenowych żarówek ujrzeli przed sobą otwarte przejście, za którym zaczynał się bardzo długi, wyłożony kamiennymi płytami, łukowato sklepiony korytarz. Wąski był tak, że mieściła się tylko jedna osoba.

Stewart oświetlił korytarz, ale końca nie było widać.

– Już niedaleko. To tunel, połączenie z drugą świątynią. Na powierzchni jeszcze nikt się do niej nie dokopał.

– Niech pan prowadzi – przerwał mu Wilson, wycierając twarz chusteczką i ponagląjąc. – Niech pan prowadzi.

Sawicki ruszył pierwszy. Za nim Wilson i na końcu Stewart.

Korytarz, czy też tunel, długi był na jakieś czterysta pięćdziesiąt stóp, z których czterysta czterdzieści dziewięć powodowało natręt-

ne powracanie dwóch myśli. Pierwsza, że przed spuszczeniem nóg do tego lochu należało jednak zadzwonić do domu, by usłyszeć może ostatni raz głos żony i dzieci, a druga, że jeśli to wszystko zacznie się za chwilę walić, to lepiej od razu dostać którąś płytą w głowę i to skutecznie, bo na ratunek raczej nie ma co liczyć.

Kiedy powodujący kołatanie serc tunel się skończył, Sawicki wprowadził spoconych Amerykanów do klatki schodowej, trochę podobnej do tej poprzedniej. Nie miała jednak tyłu zdobień i była chyba nieco węższa i odrobinę niższa. Tak przynajmniej wyglądało to w pełgającym świetle latarek, bo innego oświetlenia tu nie było.

Weszli piętro wyżej. Tu wreszcie można było się wyprostować i mimo że panował zaduch – nieco głębiej odetchnąć. Teraz kilkanaście metrów kolejnym korytarzem. W końcu przewodnik się odwrócił.

– Jesteśmy.

Wprowadził ich do niewielkiego pomieszczenia. To był tylko jakiś przedpokój. Tuż przed nimi wyłoniła się wnęka prowadząca do kolejnego wejścia, ale tym razem zamkniętego na głucho kamiennymi wrotami. Środkiem biegła ledwo widoczna szpara, zdradzając, że wrota są pewnie dwuskrzydłowe i otwierają się na boki. Nigdzie nie było jednak żadnego uchwyty ani klamki. Tuż obok prawego skrzydła, w niewielkim wgłębieniu w ścianie, w dwóch rzędach znajdowały się natomiast czarne kołeczki. Wyglądały nie tyle jak klawisze klawiatury, ile raczej jakby jakieś maleńkie dźwignie.

Sawicki wyjął z kieszeni złożoną karteczkę. Przyświecając sobie, odczytywał z niej kod i przyciskał niektóre z dźwignenek. Chwilę to trwało.

Wreszcie, dudniąc i wprawiając w drżenie kamienną podłogę, wrota z wolna zaczęły się odsuwać, chowając się jednocześnie w ścianie.

– Do tej pory nie wiemy, co je napędza.

Przed nimi stało otworem kolejne pomieszczenie. W świetle lartarki okazało się, że to tylko jakaś malutka śluza, wielkości dużej windy osobowej, kończąca się następnymi, identycznymi, wrota-

mi. Na obu skrzydłach tych wrót, w środkowej części, wyrzeźbiona była prawa dłoń z siedmioma wyprostowanymi, skierowanymi ku górze palcami. Na lewym skrzydle wewnętrzna strona dłoni, a na prawym zewnętrzna, z kciukiem od strony szczeliny. Środkowy palec zdobił płaski pierścień z prawoskrętną swastyką.

– Wejdźcie, bo za chwilę się zamkną.

– Kod ma pan od tego sierżanta? – zgadywał Stewart, niepewnie wchodząc do środka.

– Zgadza się. Dostał go od Brzezińskiego. Całe szczęście. Inaczej pewnie nigdy byśmy ich nie znaleźli.

Wrota za plecami Wilsona, dudniąc złowrogo, powoli zaczęły się zamykać. Stewart, szybko wodząc światłem po ścianach, upewnił się tylko, czy w środku też jest jakieś wgłębienie z dźwigienkami.

– A jakby się teraz zacięły?... – wyszeptał, oświetlając czarne kołeczki. – Może są na prąd?

– Licho wie – odparł Sawicki. – Chyba raczej nie.

Obaj goście zatrzymali światło swoich latarek najpierw na wyrzeźbionej dłoni, a następnie na dźwigienkach przy wrotach, jakby od tego zależało, czy zadziałają.

W tej chwili stali w zamkniętym kamiennym grobowcu, nie dłuższym niż dziesięć, nie szerszym niż sześć i wysokim może na niecałe dziewięć stóp. Od świata żywych z jednej strony i tego drugiego świata oddzielały ich kilkucalowej grubości perfekcyjnie spasowane i zupełnie nie wiadomo czym napędzane kamienne wrota z tajemniczym, nigdzie wcześniej niewidzianym symbolem. Nad głowami mieli prawdopodobnie kilkanaście pięter labiryntu kamiennych korytarzy, schodów i kilkadziesiąt tysięcy ton mułu. I chyba ciągle nie byli pewni, co zobaczą po drugiej stronie.

Świadomość tego wszystkiego powodowała, że dłonie – mimo ciągłego wycierania – po chwili znowu robiły się wilgotne, serce waliło, oddech robił się krótszy, a kropelki potu, spływające po karku, skroniach i policzkach, zatrzymywały się dopiero na i tak już mokrym kołnierzyku koszuli.

– Pamiętaj, czyja to robota – powiedział wreszcie Wilson, wycierając twarz chusteczką i przetykając głośno ślinę. – Nie mogą się zaciąć – dodał, ale jakoś bez przekonania.

Tymczasem Sawicki, znowu pomagając sobie kartką, celebrował wprowadzanie kodu dla drugiej pary drzwi.

– Nie można się tu pomylić, bo nie ruszą – wyszeptał, zerkając na już bez przerwy wycierającego się Wilsona. I trzeba powiedzieć, że sprawiało mu to coraz większą satysfakcję. Szczególnie po instruktażu, którego parę minut temu Wilson udzielił mu na schodach, potrząsając okularami i traktując go jak swojego podwładnego.

Wreszcie wyprostował się w oczekiwaniu, że zaczną odjeżdżać na bok.

– Hmm... – mruknął. – Ciekawe...

Wrota ani drgnęły. Jeszcze raz pochylił się nad dźwigenkami, sprawdzając poprawność kodu. Wodził palcem po znakach na kartce i po czarnych kołeczkach. Kątem oka widział stojącego tuż obok Wilsona. Ten widok doprawdy kołło serce.

– Majorze!... – wycedził przez zęby próbujący opanować nerwy Amerykanin.

– Proszę mi teraz nie przeszkadzać – odpowiedział zupełnie spokojnie, skupiony nad szyfrem Sawicki. – Chyba że potrafi pan zrobić to lepiej, to proszę.

Odsunął się do tyłu, robiąc miejsce.

Zapadła chwila kompletnej ciszy. Nerwowej, dusznej i klaustrofobicznej. Gęstniejącej z każdą upływającą sekundą.

– Przepraszam – wycedził w końcu Wilson. – Ale nie czuję się tu najlepiej.

Sawicki ponownie podszedł do dźwigenek. Jeszcze przez moment wodził palcem po kolejnych znakach szyfru zapisanych na skrawku papieru. Przycisnął w końcu jeszcze jeden kołeczek. I jeszcze jeden.

– To dość skomplikowany szyfr.

Wyprostował się, a wrota prawie od razu zaczęły odjeżdżać na bok, chowając się w ścianie z podobnym do poprzednich dudnięciem.

– Tak to wygląda – szepnął, wchodząc do środka i stając pod ścianą.

W omiatającym pomieszczenie świetle latarek goście dojrzeli osiem ustawionych kółkiem, zupełnie prostych, kamiennych foteli z wysokimi oparciami. Na każdym oparciu, na wysokości głowy, widniał ten sam znak, który wyrzeźbiono na wrotach. Między fotelami, na samym środku, stało jakieś urządzenie podobne do pieca kaflowego. Składało się z pięciu, coraz bardziej zwężających się ku górze, warstw kafli.

Pomieszczenie było okrągłe i półkuliście sklepienie w taki sposób, że ściany bezpośrednio przechodziły w sufit. Jak jakieś potężne eskimoskie igloo. Mogło mieć ze dwadzieścia pięć stóp średnicy i ze dwanaście wysokości w centralnej części. Oprócz foteli i owego pieca nie było tu innego wyposażenia.

Jednak to ani nie owo nietypowe pomieszczenie, ani nie kamienne meble stanowiły główny powód przyjazdu Amerykanów. Ostrożnie chodząc między fotelami, tak by przypadkiem czegoś nie dotknąć, oświetlali twarze tych, którzy na nich siedzieli.

Dwie młode kobiety i sześciu mężczyzn siedzących na fotelach kamieniało. Dosłownie.

Ich nagie ciała od przedwczoraj powoli zamieniały się w kamień. Chyba taki sam jak ten, z którego wykonane były fotele.

Sawicki, który ze swoją kompanią został tu niespodziewanie przerzucony dopiero wczoraj rano, obserwował ten niesamowity i zupełnie nie do pojęcia proces już trzeci raz. Za pierwszym, kiedy zszedł tu zaraz po przyjeździe razem z sierżantem Kozysą, skamieniałe mieli tylko nogi. Reszta ich ciał wyglądała całkiem normalnie. Nawet nie tak jak u nieboszczyków, ale raczej jakby jeszcze żyli, jakby spali. Dzisiaj rano odważył się zejść sam. Proces postępował, z wyjątkiem głów obejmując całą resztę postaci. A teraz właściwie już się zakończył. Z ich martwych, kamiennych twarzy bił jednak tak absolutny spokój, taka pogoda ducha, że nawet nie bał się tu przychodzić. Wszyscy oczy mieli zamknięte, jakby spali jakimś tajemniczym, hipnotycznym snem. Albo jakby usiedli sobie ot tak, na pogawędkę w saunie wokół rozgrzanych kamieni tego

niby-pieca i zdrzemnęli się tylko troszeczkę, a jakiś genialny rzeźbiarz błyskawicznie utrwalił tę sielską chwilę w blokach alabastru.

Sawicki nie miał zielonego pojęcia ani co to za ludzie, ani co tu robili i jaki mógł być związek tego osobliwego zjawiska z owym dziwnym, podobnym do pieca urządzeniem, zajmującym środek sali. Nikt mu niczego nie wyjaśnił. Co to w ogóle za tajemnicze, kompletnie zagrzebane w mule świątynie? O ile w ogóle świątynie, bo tego też nie był pewien.

Wiedział tylko, że po pierwsze, absolutnie i pod żadnym pozorem nie może dotyczyć kamieniejących osób, po drugie, że nie może wpuścić na teren cegielni nikogo niepowołanego, a po trzecie, że nikomu, nawet własnej żonie, o tym, co tu zobaczył, nie może puścić pary z gęby. Ani on, ani żaden z jego ludzi.

Znał się na swojej robocie, więc podejrzewał, że skoro jego tu przysłali, a ludzi Brzezińskiego helikopter wywiózł natychmiast do Bagdadu, to widocznie odbywało się tu coś dziwnego. Coś takiego, czego pewnie nigdy nie pokażą w żadnej telewizji świata. I że jeżeli tak szybko przysłali ze Stanów tych dwóch sympatycznych facetów, a szczególnie tego jednego, to może nie wszystko poszło do końca tak, jak się tego spodziewali. Miał ciągle cichą nadzieję, że jeśli oni wiedzą więcej, a tego był pewien, to może w końcu jednak chociaż trochę się wygadają.

– Co im się stało? – zapytał. – Co to za eksperyment?

– Lepiej, majorze, żeby pan nie zadawał takich pytań. Zresztą i tak by pan nie uwierzył. A potem musieliby się męczyć, żeby to panu wyskrobać z pamięci... – powiedział Wilson, wyciągając z torby kamerę. – Jerry, do roboty! Nie ma na co czekać.

– Czy już ktoś ich tu fotografował?... – Stewart indagował Sawickiego, błyskając flesztym i robiąc z bliska zdjęcia skamieniałych twarzy. – Pan?... Może pańscy ludzie?

– Nie. Mówiłem już... Nikt z moich ludzi nawet tu nie zaglądał.

– A pan? – dociekał Wilson, włączając reflektor kamery.

Zrobiło się nagle jasno, tak że aż rozbolały oczy.

– Nawet nie zabrałem aparatu. Zgodnie zresztą z waszą sugestią... To właśnie kapitan Brzeziński. – Mrużąc oczy, powiedział

do Stewarta, przymierzającego się do postaci wysokiego mężczyzny. – Ten, który był tu przede mną.

– A pozostali? Ich też pan zna?

Mimo że schodził tu już wcześniej, dopiero teraz w silnym świetle reflektora dostrzegł, że całe pomieszczenie, łącznie z meblami i skamieniałymi postaciami, jest pięknie jasnokremowe.

– Nie. Ale ten sierżant, który na was czeka, twierdzi, że widywał wszystkich od dłuższego czasu.

– Jak długo?

– Od kilku tygodni. Najdłużej tych dwóch tutaj.

Sawicki kiwnął głową w kierunku młodych, muskularnych mężczyzn o wyglądzie Dawida Michała Anioła, między którymi siedziała przepiękna dziewczyna. Przepiękna. Niesamowicie zgrabna, z cudownymi piersiami, tylko lekko przykrytymi długimi włosami, i o tak szlachetnych rysach twarzy, że nie mógł od niej oderwać oczu. Wszystko miała perfekcyjne, od czubka głowy po prześlicznie kształtne stopy. Wyglądała niczym Afrodyta, kiedy dopiero co stworzona przez bogów, wyłoniła się z morskiej piany. Albo nawet lepiej, zdecydowanie lepiej. Afrodyta mogłaby brać u niej lekcje... Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, przeżył prawdziwy szok. Dlaczego tak piękna dziewczyna popełniła samobójstwo?!... Ale potem doszedł do wniosku, że niemożliwe, żeby to było samobójstwo. Przecież żaden z samobójców, o których do tej pory słyszał, nie zamieniał się w kamień!

Uspokoila go myśl, że to najprawdopodobniej jakiś wyjątkowy eksperyment, że może oni nie umarli, tylko stało się z nimi coś dziwnego. Coś, czego wprawdzie nie rozumie, ale na pewno to nic groźnego. No bo przecież, skoro zamienili się w kamień, to dlaczego nawet nie można ich dotknąć? Tak mówił również sierżant Kozysa, chociaż on też zdaje się za dużo nie wie. Sawicki miał cichą nadzieję, że wkrótce ten proces kamienienia zacznie się cofać i gdy zejdzie następnym razem, to oni ożyją, powiedzą mu, gdzie byli i co robili, a on z Kozysą przyniesą im ubrania i wyprowadzą bezpiecznie na górę.

Tymczasem podszedł bliżej i bezwiednie musnęła zamienioną w kamień rękę przepięknej dziewczyny, jakby chcąc zwrócić jej

uwagę, by zakryła swoją ciągle kuszącą boską nagość przed intruzami z kamerą.

– Niech pan jej nie rusza!!! – zawołał zza obiektywu Wilson, podchodząc bliżej i robiąc zbliżenie jej twarzy. – Nie wolno tu niczego ruszać! Nawet dotykać...

Sawicki zauważył, że kiedy Wilson zbliżył kamerę, światło reflektora wniknęło w głęb jej postaci i rozeszło się po niej, rozświetlając przepięknie całą sylwetkę.

– OK. Jerry, masz już wszystko?... – zapytał Wilson, wyłączając reflektor. – To wracamy.

* * *

– Sierżancie Kozysa, to są panowie z CIA – przedstawił Sawicki. – Prowadzą dochodzenie w sprawie... No, wie pan, tego wydarzenia.

Sierżant Kozysa, potężnie zbudowane chłopisko o dłoniach jak bochny, ledwo mieszcząc się na krześle, usiadł przy stoliku naprzeciw Wilsona.

Byli w obskurnym pomieszczeniu w dawnej hali fabrycznej. Oprócz kilku krzeseł i stolika, pod ścianą stał szereg pogiętych i zardzewiałych metalowych szafek na odzież. Wszędzie było mnóstwo drobniateńkiego jak mąka glinianego pyłu. Pod sufitem wisiała jarzeniowa lampa na dwie rury, z których jedna bez przerwy denerwująco migiała, nie mogąc zaskoczyć.

– Mówi pan po angielsku? – zagadnął Stewart, wyciągając czerwone marlboro i częstując go. Sam też zapalił.

– Tak.

– Majorze, panu już dziękujemy... – Wilson wyprowadził Sawickiego na korytarz. – Aha, proszę dać mi tę kartkę – pstryknął palcami. – No, tę z kodem... Panu już nie będzie potrzebna.

Schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki, odwrócił się i zamknął za sobą porządnie połataną kawałkami płyt wiórowych drzwi.

– Chcielibyśmy, żeby pomógł nam pan zidentyfikować kilka twarzy. – Odwrócił krzesło oparciem do przodu i usiadł naprzeciw

sierzanta. Obaj byli podobnego wzrostu, ale Wilson na oko co najmniej o połowę lżejszy. – Jerry...

Stewart obrócił aparat wyświetlaczem w stronę Kozysy.

– Widział pan już tę osobę?

Kozysa zaciągnął się potężnie, spojrział na Wilsona, potem na Stewarta, wypuścił trzy regularne kółka i wreszcie raczył zerknąć na wyświetlacz.

Zdjęcie prezentowało dobrotliwie wyglądającego, chudziutkiego staruszka z kępkami włosów, niczym wieniec laurowy na obwodzie głowy, o orlim nosie i typowo semickiej, mocno pomarszczonej twarzy.

– To profesor Liebermann. Bodajże z Nowego Jorku. Pojawił się parę tygodni temu. Prowadził badania w świątyni.

– Jest pan pewien?

– W stu procentach – powiedział, wypuszczając dym. – Miałem okazję pogadać sobie z nim kilka razy. Bardzo miły gość... Wesoly... I cholernie mądry.

– A to?

– Kate Hume. Jego asystentka... Przepiękna dziewczyna, nie miała nawet trzydziestki. Chyba najładniejsza, jaką widziałem w życiu. Przyjechała mniej więcej tydzień przed nim. Potem gdzieś wyjechała. Jak przez parę dni jej nie było, wszyscy chodziliśmy jak struci... Na szczęście wróciła później, razem z innymi... A teraz...

– Westchnął ciężko, pociągnął papierosa ostatni raz i zgasił niedopałek. – Wszystkim zawróciła w głowach. Wszystkim... Ciągle piękna, prawda?

– Tak. Taka już pozostanie... Na zawsze... A to zdjęcie?

Wyświetlacz pokazał silnie zbudowanego młodego mężczyznę o regularnych rysach, z dość szeroką szczęką.

– To Tommy Page. Amerykanin z firmy Black Fire. Przyjechał na samym początku, razem z jednym Polakiem, Kubą Turskim. Obaj prowadzili tu poszukiwania.

– Też w świątyni?

– Tak. Byli tu pierwsi. To znaczy zaraz po nas. Przyjechali po tych wybuchach... O, to właśnie Kuba Turski. – Następne zdjęcie

pokazywało potężnego i pięknie „wyrzeźbionego” przystojniaka z zaznaczonym każdym mięśnieniem, tak że można było uczyć się na nim anatomii. – Na początku był też z nimi jeszcze jeden Amerykanin, chyba ich szef, ale potem już go nie widzieliśmy. Nawet nie pamiętam teraz nazwiska.

– Może ten?

Stewart wyświetlił fotkę trochę tęgawego gościa w średnim wieku, z wyraźnie zaznaczonym brzuszkiem.

– Nie. To kto inny. Ale też z Black Fire. To chyba też ktoś z szefostwa... – Szukał przez chwilę w pamięci. – McCormick bodajże... Tak. Był tu bardzo krótko, parę ostatnich dni. Cztery czy pięć, nie pamiętam teraz dokładnie.

– A ten? – Amerykanin pokazał następne zdjęcie.

Przedstawiało – sądząc z delikatnej budowy – jakiegoś intelektualistę w wieku bardziej niż średnim, szczupłego, za to z dość dużą, całkowicie łysą głową.

– To Thompson. Profesor, chyba akustyk, z San Francisco. Straszny nudziarz. – Wyciągnął lekko zmiętą paczkę cameli, częstując Amerykanów. Ponieważ nie chcieli, zapalił sam. – Męczący facet. Okrutnie. Jak się do kogoś przypiął, mógł zamęczyć. Przemądrzały jak cholera. – Zaciągnął się, wypuścił jedno kółko, a potem przez nie puścił jeszcze drugie, mniejsze. Zdaje się, że sierżant Kozysa był w tej dyscyplinie niezły.

– A ta dziewczyna? – zapytał o drugą z kobiet, urodą najwyżej tylko ciut-ciut ustępującą tej pierwszej.

Miała śliczną twarz, stanowiącą bliskowschodni melanż rysów z dużymi, okrągłymi oczami, cudownym greckim noskiem i spływającymi wokół lekko kręconymi włosami.

– Ona przyjechała dopiero przedwczoraj rano. Przed samym samobój... Eksperymentem... To Irakijka. Zupełnie jeszcze młodziutka. Piękniutka, zgrabniutka i tak samo delikatna jak panna Kate. Tylko trochę niższa. Z długimi, czarnymi włosami. No i bardzo sympatyczna. Bardzo. Przywiózł ją kapitan Page. Ale nie mam pojęcia skąd.

– To kapitan Bzezinsky, tak?

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

– Zgadza się. Brzeziński. Taki gość – pokazał gest lewym łokciem, charakteryzując mężczyznę w średnim wieku, o potulnej twarzy, z krótkimi kędziorkami na głowie. – Najlepszy dowódca, jakiego miałem... Cholera... – Wytał chusteczką oczy i obrócił się w stronę chowającego aparat Stewarta. – Jeszcze przedwczoraj po obiedzie z nimi rozmawiałem... Śmiałyśmy się, wygłupialiśmy... Co im odbiło?

– To już wszyscy – powiedział Wilson.

– Co im się stało?... – Kozysa podniósł się i zajął Wilsonowi prosto w oczy. – Powiedźcie...

– Był pan tam na dole, tak?

Pokiwał głową twierdząco.

– To ja ich znalazłem.

– Kod do tej służby zna pan od Bzezinsky'ego?

– Na wszelki wypadek zapisał mi na kartce. – Wyjął z kieszeni skrawek papieru. – O...

– Proszę mi ją dać. – Wilson wyciągnął rękę.

– To pamiątka po dowódcy. – Zdziwiony Kozysa schował karteczkę w olbrzymiej dłoni.

– Sierzancie, kodów nie może pan mieć – powiedział stanowczo. – Dostanie pan coś innego... Jak był pan tam na dole, dotykał pan kogoś? – Karteczkę z zapisanymi dwoma rzędami cyfr złożył starannie i schował do kieszeni.

– Nie. Bałem się... Kapitan powiedział, że jak nie wyjdą na kolację, to żebym później zajął do nich. Ale żeby absolutnie i pod żadnym pozorem nikogo nie dotykać... Miałem tylko zabrać ich ciuchy i latarki. – Ponownie wyciągnął papierosy, poczęstował Stewarta. – Poszedłem wieczorem... Ich rzeczy były złożone w worku na klatce schodowej, tam, gdzie zaczynała się ta dziwna woda. Swoje ciuchy też tam zostawiłem. W tym przedsiönku, no, tym między wrotami, zostawili tylko swoją bieliznę, buty i latarki... I okulary – przypomniał sobie. – Dwie pary, obu profesorów... Do środka weszli zupełnie nago, bez niczego. Jak ich zobaczyłem... – Pokiwał głową z dezaprobatą i pociągnął papierosa. – Stopy już im to wpięprzało. Powoli, systematycznie i coraz wyżej... Widać

było, jak to postępuje... Kompletna cisza, ani bzyknięcia komara, zupełnie nic. Pewnie mi nie uwierzycie, ale dokładnie słyszałem, jak wali mi serce... Ze strachu. – Ponownie zaciągnął się głęboko i wypuścił kilka kółek. – Nie mogłem uwierzyć własnym oczom... Potem już się tak nie bałem... Zresztą wszyscy wyglądali tak spokojnie. Siedziałem z nimi prawie półtorej godziny i patrzyłem. Myślałem, że może w końcu się jednak obudzą. – Kozysa palił na wyścigi. Stewart zauważył, że każde zaciągnięcie się sierżanta skraca papierosa o dobre ćwierć cala. Prawie go pożerał. – Już wcześniej schodzili tam przecież wiele razy. Nie mówili nikomu, co robią, ale nie było ich po ładnych kilka godzin. Za każdym razem. Więc myślałem, że i teraz...

– A nie domyślał się pan, co mogli tam robić? – zapytał Stewart.

– Kiedy? Wcześniej?

– Tak.

– Pewnie penetrowali te świątynie, bo o ile mi wiadomo, to dopiero wybuchy odsłoniły wejście. Wcześniej nikt tam nie wchodził. Po to przecież przyjechali ci profesorowie... Tak myślę... Jak światło latarki zaczęło dogasać, zabrałem to wszystko i wróciłem.

– Na pewno nikogo pan nie dotykał?... Pięknej Kate, na przykład?...

– Nie.

– Przecież podobała się panu... Mógł pan ją wreszcie chociaż pogłaskać, nikt pana nie widział, był pan tam sam...

– Gościu, za kogo ty mnie, kurwa, bierzesz?!... – Zdenerwował się, spojrzał groźnie na Wilsona i zaczął podnosić się z krzesła.

– Spokojnie, spokojnie! – Daskoczył do niego Stewart i położył mu ręce na ramionach. – Proszę siadać i się nie denerwować. Niestety musimy pana o to wszystko wypytać. Taka jest nasza rola...

– OK. Przepraszam, sierżancie... A nie poprawiał pan im czegoś?... Żeby lepiej wyglądali?... Rąk, włosów?... – dopytywał Wilson. – Proszę sobie przypomnieć, to bardzo ważne.

– Sierżancie, nie chodzi o to, by pana ukarać za to, że ich pan dotknął. To w ogóle nie wchodzi w rachubę – wyjaśnił Stewart. – Istotne jest tylko to, że jeżeli ktokolwiek ich dotykał, a szcze-

gólnie wtedy, kiedy jeszcze nie skamienieli do końca, musimy to wiedzieć. To bardzo ważne. Nawet nie wie pan, jak bardzo.

– Nie dotykałem. Nikogo... Kapitan wyraźnie mi powiedział, żebym nikogo nie dotykał, więc nie dotykałem... Zabrałem tylko swoją latarkę. Z przedsiönka wziąłem ich latarki i bieliznę. Leżały na podłodze pod ścianą. Musiałem wrócić po swoją bluzę, bo nie mogłem się zabrać. Włożyłem wszystko do środka i zawiązałem rękawy. Buty powiązałem parami, a okulary schowałem do kieszeni bluzy – mówił wyraźnie już rozdrażniony. – Bluzę i cztery pary butów wziąłem do lewej ręki. – Pokazał, zdecydowanie podnosząc, którą rękę ma na myśli, żeby nie mieli wątpliwości, czy u Polaków lewa to ta sama co lewa u Amerykanów: – A latarkę i trzy pary butów do prawej. – Teraz uniósł drugą ze swoich potężnych rąk. – Kiedy wszedłem do tunelu, lewą rękę musiałem trzymać za sobą, o tak, a prawą przed sobą. – To też zademonstrował. – Bo normalnie się nie mieściłem. Na schodach przełożyłem to wszystko do worka z ich rzeczami, ubrałem się i wyniosłem na górę. Kiedy dotarłem do kieratu, wór wziąłem przed siebie, bo inaczej się nie dało. Niosłem go oburącz. – Tego już nie demonstrował. – Potem wasi, razem z naszymi chłopakami, zabrali to wszystko do Bagdadu... – Zapalił następnego camela. – Wszystko.

– A zdjęcia? – zapytał Stewart. – Robił pan?... Może na pamiątkę?

– Nie... – odpowiedział już nieco spokojniej. – Chociaż teraz żałuję. Poszedłem tylko z latarką i z tym kodem... Kapitan... Miałem tam iść sam, niczego nie dotykać i nikomu o tym nie mówić... Ale jak ich zobaczyłem... No... Co się z nimi dzieje, musiałem dać znać... Całą noc się z tym męczyłem. Nie zmrużyłem oka. Zupełnie. Rano zadzwoniłem do sztabu.

– Słusznie. Skoro pan też tam był, zmuszeni będziemy zabrać pana na kwarantannę. Jak wszystkich innych – powiedział Wilson. – Sami nie wiemy dokładnie, co tam się stało. Prawdopodobnie to jakiś gaz... Najprawdopodobniej wprowadzali się w stan halucynacji. Tam na dole cały czas zbiera się wydychany dwutlenek węgla, bo jest ciężki. Spływa na dół i wypełnia zagłębienia. Im więcej razy tam wchodzili, tym było go więcej. A że jest zupełnie

bezwonny... – Zrobił minę, która miała oznaczać „wszystko jasne”. – Mnie, jak zeszedliśmy tam na dół, też kręciło się w głowie.

– Mnie też – dodał Stewart.

– No właśnie. Więc może razem z psychotropami to dwutlenek węgla dał taki efekt... Piorun wie. Pewne jest tylko, że ten jeden raz przesadzili.

– Gdyby na dół jakąś rurą tłoczyli świeże powietrze, może jeszcze by żyli?... – Zastanawiał się Stewart.

– Gaz... I od gazu tak skamienieli, prawda?... I nie można ich dotykać?... Nawet skamieniałych?!... Niech pan się nie obrazi, chłopie, ale takie bzdury to może pan opowiadać u was w telewizji... Będzie pan miał wdzięcznych słuchaczy. – Kozysa spojrzął na obu z mieszaniną drwiny i pogardy. Jak człowiek, który właśnie uświadomił sobie, że najlepszy kumpel zrobił z niego wała. – Tam nie było żadnego gazu. Wiem to tak samo jak wy... To musiało mieć związek z tym piecem na środku... Może nie?

✱ ✱ ✱

„Kolejnych pięciu naszych żołnierzy zginęło we wczorajszym ataku bombowym, przeprowadzonym przez członków nieznannej dotąd islamskiej organizacji bojowej. W ostrzelanej raketami bazie w pobliżu miejscowości Afak, sto mil na południe od Bagdadu, eksplodował magazyn...”

– Z amunicją i zbiorniki z paliwem – dokończył za reportera CNN Wilson, wyłączając telewizor. – I miejmy nadzieję, Jerry, że to już ostateczne i definitywne zakończenie programu „Stardust”. – Podniósł szklankę do toastu: – Przynajmniej w tej części świata.

– Oby. – Stewart uniósł swoją. – Chociaż przesadziłeś aż o pięć trupów. No i przecież to nie nasza strefa.

– A jak to sobie wyobrażałeś? Atak bombowy w wykonaniu islamskich terrorystów, w którym nie zginąłby żaden żołnierz?!... – Z tryumfującą miną spojrzął na Stewarta. – Chłopie, o takiej fuszercie trąbiłyby w kółko wszystkie stacje na całym świecie!... A tak, skromna informacja, jakich pełno. Jutro już wszyscy o tym

zapomną. Nawet o tym, że to nie nasza strefa... Ważne, że po wejściu do świątyni nie ma nawet śladu.

– Taak. Tylko jeżeli ten sierżant dotykał ich na świeżo... – Stewart niepewnie pokiwał głową. – Możemy... – Wykonał jakiś dziwny gest, który nie wiadomo co miał oznaczać.

– Przestań! Miejmy nadzieję, że mówił prawdę... – Przechylił szklankę. Przez chwilę o czymś myślał, po czym dodał: – Jestem przekonany, że mówił prawdę... Poza tym, Jerry, to nie takie proste. – Wilson powtórzył dziwny gest Stewarta. Jakby wiedział, o co tamtemu chodziło. – W końcu już zaplanowałem urlop. Na rybki nad Winnipeg, kolego.

– Każde miejsce do tego jest dobre. – Stewart ponownie zrobił ręką jakąś dziwną pętlę. – Jeśli o to ci chodzi. Nawet piękne jezioro Winnipeg... Ale żałuję, że właśnie tak to się kończy... – Opróżnił szklankę. – Rok temu zapowiadało się zupełnie inaczej.

Wilson roześmiał się. Chodził po swoim gabinecie z butelką Ballantine's w jednej ręce, a szklanką w drugiej. Dolał Stewartowi.

– Jerry, a jaką ty masz pewność, że to się skończyło?! I że właśnie w taki sposób?... Skończył się tylko program „Stardust”. I nic ponadto. Cała reszta dopiero się zaczyna... Tak, dopiero się zaczyna... – powtórzył po chwili. – A taką miałem, cholera, nadzieję, że usiądę sobie na którymś z tych foteli... Mimo tej mojej pieprzonej klaustrofobii. Poważnie.

– Daj spokój... Chybabym się zesrał ze strachu.

– Co ty?! To musiało się udać... Skoro tu jesteśmy, skoro pijemy sobie whisky, to znaczy, że wszystko im się udało... – Pokiwał twierdząco głową. – Wszystko...

– Ale to wiesz dopiero teraz – zauważył Stewart. – Po wszystkim.

– Hmm... Niby tak... Ale co to za dziewczynę ten Page tam przywiózł? Skąd on ją, do cholery, wytrzasnął? I to jeszcze taką ładną...

– Nie mam pojęcia. Nic nam nie było wiadomo na ten temat... – Stewart przypalił papierosa. – Że ma tam taką śliczną dupeczkę...

– To McCormick dał ciała. Nic nam nie powiedział, a przecież powinien wiedzieć.

– I popatrz, jak pięknie się zmył... Skubaniec...

– Taak...

– Spryciarz z niego, co?

– Spryciarz?!... Mimo wszystko nie chciałbym być na jego miejscu... Na każdym innym tak, ale nie na jego... Ale najważniejsze, że wszystko się pięknie udało. – Wilson uśmiechnął się do młodszego kolegi.

– Chociaż Fawcett twierdził, że ma być siedem osób, a nie osiem... – zauważył młodszy kolega. – W tym trzy kobiety...

– Wszystko się zgadza, Jerry... – Starszy kolega znowu chodził po pokoju. Wahał się, czy może mówić dalej, bo Stewart był w końcu tylko asystentem. Ale skoro jest po wszystkim, to chyba może. Teraz to przecież już tylko historia. Zresztą, nawet jak komuś wypaple, i tak nikt mu nie uwierzy. Szczęśliwie nikt nie jest w stanie zmienić już czegokolwiek! – Było siedem osób, w tym trzy kobiety.

Stewart zupełnie nie wiedział, co jego szef ma na myśli. Dwa tygodnie temu sam robił im zdjęcia. Było osiem foteli i osiem osób. Dwie kobiety i sześciu chłopca.

– Ale przecież...

– Potrzebny im był skondensowany rezerwuuar potężnej ilości energii. – Akcentując machaniem ręki każde wypowiedane słowo, uchylił nieco rąbka tajemnicy. – Taki bardzo wydajny akumulator... Jarzysz?

– To akurat jarzę – obruszył się. I wreszcie zaskoczył. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że to McCormick jest tym rezerwuarem?!... Akumulatorem...

– Nie tyle chcę powiedzieć, ile właśnie to mówię... Dyrektor McCormick, a w zasadzie kwantowa permutacja jego cielesnej powłoki, występuje tam wyłącznie w roli źródła energii.

– Co?!?!...

– Kwantowa permutacja cielesnej powłoki dyrektora – powtórzył uczenie. – To takie przekształcenie materii w jej obraz energetyczny. Kapujesz?... Ja też nie. Ale tyle mi powiedzieli. Tylko tyle.

– Rozumiem... To znaczy troszeczkę rozumiem... Ale dlaczego to właśnie McCormick jest tą pierdoloną permutacją?

– Kwantową permutacją... A co w tym złego?!... – Zdziwił się Wilson. – W końcu ktoś musiał.

– Ale dlaczego on?!... Pozbyliście się go, tak? – zapytał podejrzliwie.

– Nie... To był pomysł samego McCormicka. Wyobraź sobie, że zgłosił się na ochotnika. Wiedział doskonale, że nie można nikogo do tego zmusić. Żeby przypadkiem nie schrzanić całego programu. – Wilson wreszcie przestał chodzić i przysiadł na blacie biurka. – Fawcett nawet początkowo myślał o sobie, ale góra się nie zgodziła. Dla niego było inne, znacznie ważniejsze zadanie. Jak McCormick zgłosił swoją kandydaturę, długo się wahali. Ale w końcu musieli to klepnąć. Nie mieli wyboru. Czas naglił, a nie było nikogo innego... McCormick był samotny, jego rodzice już dawno nie żyli. Miał co prawda brata, ale nie utrzymywał z nim żadnego kontaktu. Dwa i pół roku temu zaczął chorować na coś brzydkiego. Bardzo brzydkiego. Ale nie pytaj mnie na co, bo i tak ci nie powiem. Dawali mu nie więcej niż półtora roku. I tak zarobił prawie rok, nie powinien narzekać... Więc od tej strony wybór był optymalny.

– Szkoda chłopca... – Zmartwił się asystent. – No a ta jego choroba nie była przeszkodą w tej... no...

– Permutacji?

– Pierdolonej – przytaknął.

– Nie... Pamiętaj, Jerry, energia jest niezniszczalna. Tylko zmienia formy i postacie... To równie dobrze mogłaby być kupa gnijących bananów albo krowięce łajno w dużej ilości. Tylko jest jeden problem... Świadomość, kolego. Chęć świadomego uczestniczenia. Niestety, banany, nawet bardzo gnijące, tego warunku nie spełniają. O ile mi wiadomo, krowie gówno też nie. To musiał być człowiek, który świadomie w to wdepnie, wejdzie. Bo to on, ściśle mówiąc jego jaźń albo dusza, wszystko jedno, jak to nazwiesz, będzie tą przekształconą energią kierowała... Kapujesz?

– Teraz już trochę więcej.

– Świetnie, bo ja ciągle nie... No więc mimo wszystko zaimponował mi. Szczerze go podziwiam... Nasza sala konferencyjna będzie jego imienia...

– Bardzo słusznie... Należy mu się... A co z liczbą kobiet i mężczyzn? – dociekał asystent, korzystając z wyjątkowo dobrego humoru szefa.

– Profesor Thompson przeszedł transmutację. Powinna wyjść z niego przepiękna blondynka. Z założeniem, że bez takiej wielkiej, skórzastej głowy. No i znacznie młodsza.

– Profesor Liebermann, tak?... To dla niego? – zgadywał.

– Nie... Dla Bzezinsky'ego. Oczywiście o ile będzie tą propozycją zainteresowany. Jest po rozwodzie, więc nie powinno być żadnych przeciwwskazań.

– Wiedział o tym?

– Bzezinsky czy Thompson?

– Thompson.

– Nie, ale to zupełnie bez znaczenia. Wytworzy sobie nowe pliki świadomości. Z tym nie powinno być większego problemu. Był strasznym egocentrykiem, to podobno duże ułatwienie. Powinno mu się udać.

– No a Liebermann? Co z nim w takim razie?

– Pan profesor Liebermann jest, kolego, środkowym palcem perfekcyjnej dłoni.

– Tym z pierścieniem? – Nie chciał uwierzyć asystent.

Wilson pokiwał twierdząco głową.

– Zgadza się. Z pierścieniem z prawoskrętną swastyką.

– Żyd z pierścieniem ze swastyką?!... – parsknął Stewart.

– I jeszcze prawoskrętną?!

– Ironia losu, prawda?...

II

MOC MAGICZNYCH SŁÓW

Ponad rok wcześniej w całym Maryland deszcz siąpił już od wczesnego wieczoru. W Fort George Meade było mgliście i przeobraźliwie zimno. Ani odrobiny wiatru. Panowała prawie absolutna cisza, łamana tylko delikatnym szemraniem padającej mżawki.

Dwa ogromne, czarne biurowce przy Dennis Road, otoczone potężnymi parkingami na kilka tysięcy samochodów, mokły samotnie pośród nielicznych drzew. W tę listopadową noc wydawały się jeszcze bardziej monumentalne niż zwykle, niedostępne i tajemnicze. Ani jeden promień światła nie wydostawał się ze środka na zewnątrz. Tylko stojące na deszczu latarnie odbijały zimne refleksy w ogromnych czarnych, szklanych taflach.

Gdyby nie kilkadziesiąt samochodów pozostawionych na najbliższych parkingach, pewnie nikt nie domyśliłby się, że w środku ktoś jednak jest, że coś się tam jednak dzieje.

Tymczasem oba budynki NSA¹, naszpikowane najnowocześniejszą aparaturą podsłuchową, z ogromnymi parabolicznymi antenami na dachach, stanowiły serce i mózg całego systemu. Systemu podglądania i podsłuchiwania wszystkich i wszystkiego. I to prawie na całym świecie.

Bob Jackson, zupełnie jak wielki pogromca byków ze śpiewanego przez Neila Younga „Eldorado”, był niebieskookim rudzielcem. Miał około czterdziestu lat, z których ostatnie osiem przepracował

¹ NSA – *National Security Agency* (Agencja Bezpieczeństwa Narodowego), zajmuje się informacyjnym bezpieczeństwem USA.

w obu tajemniczych budynkach. Ale do tej pory nie miał zielonego pojęcia, co znajduje się za niejednymi drzwiami.

Dużo młodszy od niego Michael White, filigranowy chiński imigrant, kiedyś nazywał się zupełnie inaczej. Jednak jego nazwisko było tego rodzaju, że żaden biały człowiek nie był w stanie go wymówić prawidłowo. Kumple w czasie studiów wołali na niego White, a Dee Dee, którą poznał na drugim roku, zwracała się do niego per Michael. I tak już zostało. Jako świeżo upieczony absolwent arabistyki na Yale University, pojawił się w Fort Meade raptem kilka miesięcy temu, by wszystkiego nauczyć się od podstaw.

Obaj siedzieli w jednym z wielu klimatyzowanych, ekranowanych i odciętych od reszty świata pomieszczeń, którego dwie ściany w całości zastawione były mnóstwem jakichś mądrych elektronicznych urządzeń, nieco przypominających szafy na archiwa.

Przed nimi, na długim pulpicie, stało kilka monitorów. Dwa wyświetlały jakieś zmieniające się co chwilę kolorowe wykresy, a jeden mapę Bliskiego Wschodu z zaznaczonym fragmentem aktualnie obserwowanego obszaru.

Delikatny półmrok i cichutkie buczenie komputerowych wentylatorów okrywały wszystko atmosferą sennego spokoju. Zegar monitora, przed którym siedział White, wyświetlał dopiero 4:21.

Dopijali kolejną tej nocy kawę i dla zabicia czasu raczyli się na zmianę odgrzewanymi dowcipami.

– A to?... – rzucił Jackson, ziewając. – Jaka jest różnica między blondynką a koparką nasiębierną?

Tego White nie mógł wiedzieć. Przecież był dopiero stażystą. Odpowiedzi niestety też już nie usłyszał.

Całe pomieszczenie w jednej chwili wypełnił wibrujący sygnał dźwiękowy. Na pulpicie, przed którym siedział Jackson, dwie lampki zaczęły na zmianę pulsować intensywnym czerwonym światłem.

To główny komputer, śledzący rozmowy telefoniczne na obszarze Iraku, właśnie podniósł alarm. I to najwyższego, pierwszego, stopnia.

Poderwali się na równe nogi.

– Wściekł się czy co?! Jak znowu coś popieprzył, przyłożę mu gaśnicę! – postraszył Jackson.

Skasował alarm, wałąc palcami w klawiaturę, i wyświetlił listę kluczowych pojęć.

– „Kryształy wylęgające, tabliczki *ME*, wiązka neutrin, Białą Dom, Domina”. – White czytał z ekranu.

– „Dimona” – poprawił go Jackson.

– Co?

– „Dimona”... – powtórzył. – Nie „Domina”, panie stażysto, tylko „Dimona”. Ośrodek atomowy w Izraelu... Nie uczyli cię?

– *Pardon*. Pomyliło mi się... – Zawstydzil się. – Miejmy nadzieję, że znowu się walnął... – Skontrolował czas. – Za półtorej godziny kończymy.

Włączył odtwarzanie. Usłyszeli rwaną rozmowę prowadzoną w jakimś niezrozumiałym języku.

– Co to, kurwa, ma być?!... Nie po arabsku?! – Jackson wkurzony wyciągnął papierosa. – To po cholere ja tu siedzę?!... Chcesz? – Podsunął mu paczkę.

– Nie, dzięki. To chyba ruski... Tak mi się wydaje... Może zadzwonisz po Cindy? – powiedział nieśmiało White.

– O tej porze?!... Zwariowałaś?!... – opieprzył go Jackson. Zaciągnął się głęboko i odepchnął nogami, odjeżdżając daleko od pulpitu. – A jaką mamy pewność, że to faktycznie ruski?

Jackson doskonale znał regulamin. Liczył, że jeśli nie ustalą języka, to sporządzą tylko krótką notatkę i zostawią wszystko do rana. Niech inni się z tym wożą. W końcu pracuje tu całe mnóstwo pieprzonych tęgich mózgowców. Może się wreszcie do czegoś przydadzą, banda nygusów i nierobów.

Co innego, jeżeli język zostanie rozpoznany...

– Czekaj, już sprawdzam... – White kilkakrotnie kliknął myszką, zanim Jackson zdążył zareagować. – Rosyjski! – Zadowolony odczytał z ekranu. – Z prawdopodobieństwem osiemdziesiąt pięć procent.

Jackson skrzywił się z niedowierzaniem i zrezygnowany pokiwał głową.

– Słuchaj, White, nie wiem, czy już ktoś ci to mówił, może żona, ale ty jesteś jakiś pechowy facet... Kto ci, kurwa, kazał dotykać tej pieprzonej myszy?!... Swoją starą złapiesz, jak wrócisz do domu.

– Ale...

– Ale, ale!... Nie wiesz, że jak jest ruski, to się to zostawia do rana?!... A jeśli to ukraiński, to co wtedy?!... A jeśli białoruski?!... Mamy piętnaście procent pewności, że to na pewno nie ruski. W ten sposób powinieneś na to spojrzeć. – Machając rękoma, wyjaśniał ulubionemu koledze, jakby wbijał szewskim młotkiem tajemną wiedzę do jakiegoś zakutego łba. No, ulubionemu, to może przesada. – Kapujesz?...

Pewnie, że White skapował. W końcu nie był głąbem, skończył Yale. Ale już było za późno. Jackson wiedział, że to jego obowiązkiem jako szefa zmiany jest wezwać teraz rusycystkę Cindy Evans. I że ona nie ma prawa zrzędzić. Ale wiedział też, że życie jest tylko życiem i że jak ona przyjedzie, będzie się wściekała. To pewniejsze niż piątkowa wypłata. Znał ją przecież nie od dzisiaj. A jeśli nie daj Boże alarm znowu okaże się fałszywy?

Wtedy lepiej być gdzieś daleko. Bardzo daleko. Drugi koniec galaktyki, może nawet trochę dalej.

Szczerze nie cierpiał tej cholernej baby. Właśnie za te jej pieprzone humory. Humory?!... Dobre sobie!... Za jeden permanentny humor! Wiecznie niezadowolonej ze wszystkiego, upierdliwej i zrzędzącej ropuchy. Wolał więc, żeby to White był tym gentlemanem, który zaprosi ją w gościnne progi. Bohatersko rozpoznał rosyjski – należy mu się, he, he, he!... Poza tym jest młody i przyszedł tutaj, by się wszystkiego nauczyć. A odporność na wczesnoporaną zębękę należy do tych arcyważnych umiejętności, które stażysta musi wytrenować do perfekcji. Przynajmniej jeśli chce tu pracować.

– Bob, musimy... – odezwał się wreszcie White. – A jeśli to jednak coś ważnego? – Sięgnął po słuchawkę.

Panna Evans przyjechała do firmy o 5:17. Prawdę mówiąc, panną przestała być dobrych piętnaście lat temu. Teraz była już tylko starą panną, co z satysfakcją codziennie zauważał Jackson. Ska-

ner przy wejściu przejrzał siatkówkę jej zmęczonego życiem oka i wpuścił do budynku. Wjechała windą na piąte piętro.

Nieumalowana, z podkrążonymi oczami, miedziane włosy miała spięte tylko jakąś zieloną spinką. White, kiedy ją zobaczył, zaczął mieć wyrzuty. Pomyślał, że wbrew regulaminowi wieczorem musiała chyba gdzieś nieźle dać ognia. Jackson natomiast nawet nie zwrócił uwagi, kiedy weszła. Od kilku chwil całkowicie pochłonięty był analizą wykresów na swoim monitorze.

– Boże, co za pogoda! – zaczęła groźnie już od progu. – Módl się, Mike, żeby to było ważne! Zobacz, jak ja wyglądam! Położyłam się po północy... I jeszcze z godzinę nie mogłam zasnąć.

Jackson dopiero teraz odwrócił się w jej stronę. Mimo że jej samej nie znosił, to bardzo lubił zapach jej perfum. Chanel Number O'senck czy jakoś tak. W każdym razie jakieś bułgarskie czy francuskie. Już je poczuł. Takich samych używała kiedyś Ness, śliczna blondyneczka, w której się podkochiwał, niestety bez wzajemności. Dyskretnie zaciągnął się głęboko zapachem.

– Cześć, Cindy! Przykro nam, słoneczko. Czerwony alarm... – przywitał ją cieplutko z odrobiną jadu przyczajonego grzechotnika w głosie. Zawahał się przez moment i wbijając jej jeszcze jedną zatrutą szpileczkę, wycedził: – Regulamin niestety milczy na temat twoich słynnych kłopotów z zasypianiem... A przecież faktycznie, powinien to uwzględniać...

Spojrzała na niego tak, że jadowity uśmieszek natychmiast spłynął z jego twarzy. Odwracając się do niej plecami, tylko dodał:

– Mike zrobił ci kawę...

Nic nie odpowiedziała. Usiadła do drugiego komputera. Zapaliła nieodłączne mentolowe marlboro, wypila dwa małe łyeczki i założyła słuchawki.

Zanim Jackson i White skończyli dyżur, miała gotowe tłumaczenie.

– Dobrze, że zadzwoniliście.

Powiedziała to takim głosem, że Jackson sam już nie był pewien, czy mówi poważnie, czy sobie kpi.

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

– Żadna w tym wasza zasługa – dodała, podając mu wydruk – ale chyba faktycznie coś jest na rzeczy. Zdaje się, że nasi przyjaciele Arabowie szykują jakiś pasztet naszym przyjacielom Żydom. Z rosyjską śliwką... Tak przynajmniej to rozumiem... Moje gratulacje!

– Dzięki... Miła jesteś...

Poczęstował ją papierosem. Sam też zapalił. Chodził teraz po pokoju, drapiąc się po rudych kędziorach.

Kiedy przeczytał kilka pierwszych wierszy, wreszcie do niego dotarło, co powiedziała.

– Ojojjoj!... Chyba zanosi się na niezłą rozpierduchę! Młody, siadaj, podyktuj ci! – Zaciągnął się solidnie. – Trzeba to porządnie opisać. Jak przyjdzie O’Brien, musimy mieć gotowy raport!

* * *

Kiedy Jeremy Hopkins, szef COMINT², dwa dni później rano wszedł do swojego gabinetu, na biurku, jak zwykle, stała porcelanowa filiżanka z mocną, świeżo zmieloną belgijską kawą Jacqmotte. Po całym pomieszczeniu roznosił się jej wspaniały aromat. W pracy pijał tylko taką. Jego zmarła dwa lata temu żona Laure była Belgijką i właśnie jej zawdzięczał to aromatyczne przyzwyczajenie. Zielona teczka leżąca obok była tym, na co czekał już od wczorajszego popołudnia. Zawierała wstępny raport zespołu O’Briena.

Do głęboko rżniętej, kryształowej szklanki nalał sobie troszkę więcej whisky niż zwykle, zapalił cygaro i utonął w wielkim fotelu.

– Patty, wezwij na 11.00 Steve’a Christie. – Nachylił się do interkomu.

Hopkins był odrobinę staromodnym, ale bardzo konkretnym facetem. W firmie znany był z wypielegnowanego sumiastego wąsiska, przykrywającego częściowo bliznę na prawym policzku,

² COMINT – jeden z departamentów NSA. Zajmuje się wywiadem komunikacyjnym.

i z nieskrywanego zamiłowania do staroci. Skąd wzięła się ta głęboka blizna, nie wiadomo. Natomiast meble do jego gabinetu trafiły aż z Bostonu. Jako jedyny w całym gmachu miał dębowe biurko z giętymi nogami, trochę niepasujący do niego, ale podobnie stary, potężny fotel i dwa wiekowe regały. Całości dopełniała mosiężna lampa stojąca na biurku, wyposażona w przepiękny, zrobiony z jasnozielono-mlecznego szkła abażur i drewniany, inkrustowany macią perłową, egipski humidor na cygara. Wszystko to sam znalazł wiele lat temu na jakiejś wyprzedaży i kazał sprowadzić do Fort Meade.

Rozumie się samo przez się, że raporty, które trafiały na to wspaniałe biurko, musiały być jasne, krótkie i treściwe. Bez wodolejstwa. Ten zdaje się był właśnie taki. Syntetyczny z elementami analizy... Uśmiechnął się do siebie, kiedy przypomniał sobie, jakie to wypracowania dostawał od O'Briena jeszcze półtora roku temu. A teraz... Aż miło się czyta. A wszystko to oczywiście jego szkoła.

Osią raportu była przetłumaczona przez Cindy Evans rozmowa. O'Brien dołączył do niej wyjaśnienia kluczowych pojęć, personalia rozmówców i dwie ekspertyzy.

Kluczowe pojęcia, właściwie pojęcia-klucze, to terminy, po zarejestrowaniu których jeden z najszybszych komputerów na świecie wszczyną alarm określonego stopnia. W swojej olbrzymiej pamięci ma kilka milionów takich pojęć, bez przerwy aktualizowanych, wymienianych w kilkudziesięciu najważniejszych językach świata i podzielonych na cztery kategorie zagrożenia. Wystarczy, że któreś zostanie wymienione w podsłuchiwanej rozmowie, a komputer sam już wie, iż rozmowę należy zostawić w pamięci i odpowiednim alarmem powiadomić czuwających analityków.

Ustalenie personaliów rozmówców to z kolei efekt żmudnej pracy porównawczej speców od analizy dźwięku. Wszystkie z dotychczas podsłuchanych osób, interesujących ze względu na temat rozmowy, skatalogowane są wraz z charakterystykami dotyczącymi sposobu dobierania słów oraz barwy dźwięku ich głosu. Dokładna charakterystyka składowych harmonicznnych fali dźwiękowej jest tak samo niepowtarzalna jak odcisk linii papilarnych.

Raport uzupełniał wcześniejszy meldunek, nadesłany przez rezydenta CIA z Kairu pod koniec października. O'Brien doszedł do wniosku, że może być przydatny.

Dołączył również dwie opinie ekspertów. Jedną podpisaną przez profesora fizyki Donalda Schwartza z MIT³, wybitnego specjalistę w dziedzinie konstrukcji niebieskich laserów, oraz drugą, sygnowaną nazwiskiem profesora Samuela Liebermanna, sumerologa z Nowego Jorku, znanego ze stosowania niekonwencjonalnych i czasami dość kontrowersyjnych metod badawczych. Mimo że O'Brien akurat sam był biegły w dziedzinie, której dotyczyła przechwycona rozmowa, przepisy wyraźnie nakazywały, by przy tak delikatnym temacie zasięgnąć opinii ekspertów z zewnątrz.

Jak zwykle na końcu znalazła się krótka prognoza. Tym razem sporządzona przez analityków Jacksona i White'a. Omawiała w zarysie spodziewane konsekwencje tego, o czym rozmawiali obaj podsłuchani.

Pół godziny później Hopkins zamknął teczkę. Mimo że tego nie lubił, duszkiem wypił chłodną już kawę. Zgasił niedopałek cygara, serwetką wytarł mokre wąsy i ciężko westchnął.

– Taak...

A więc działo neutrinowe... Kilka razy już coś o tym słyszał. Ostatni raz nawet całkiem niedawno. Ściśle mówiąc, słyszał, że tego nie ma i nie będzie jeszcze przez dłuższy czas. Że to najnowsza technologia, ba!... Technologia bliżej nieokreślonej przyszłości, o jakiej armijni spece dopiero nieśmiało coś przebąkują, że dobrze byłoby zainwestować grube miliony w badania, żeby – o ile oczywiście wszystko pójdzie dobrze – mieć to za kilka, a bardziej prawdopodobnie dopiero za kilkanaście lat na pokładzie któregoś z naszych satelitów... A wtedy już nikt nam nie podskoczy! Nikt!... Ruscy i żółtki zesrają się ze strachu na rzadko!...

Sraty taty, cip, cip, cip!

³ MIT – *Massachusetts Institute of Technology*, jedna z najlepszych szkół politechnicznych na świecie.

No więc nie dość, że to już jest, nie dość, że realnie istnieje i to, co gorsza, z tabliczką *made in Russia*, to jeszcze trafiło w ręce jakichś cholernych terrorystów! Pewnie, że nie przypadkiem, to jasne. Ale w tej chwili to już mało istotny szczegół. W tej chwili to my możemy zesrać się ze strachu... Na rzadko.

A jakby jeszcze było mało, to wszystko występuje w jakimś dziwnym związku z czymś, co kryje się pod enigmatycznym terminem tabliczki *ME*... I to dopiero jest gwóźdź programu! Mocno wbity i zakrzywiony. Z dołączonych objaśnień wynika, że owe tabliczki stanowią zapis jakiejś magicznej, prastarej wiedzy Sumerów. Tych samych, którzy siedem tysięcy lat temu zbudowali w Mezopotamii najstarszą ze znanych nam cywilizacji.

Już dziewiąty rok był szefem COMINT. Wiedział, że wszystko, co wyczytał z raportu O'Briena, należy potraktować bardzo poważnie. Śmiertelnie poważnie. Nawet jeżeli na pierwszy rzut oka wydaje się to idiotyczne i nieprawdopodobne.

Wiele podobnie szalonych raportów lądowało na jego biurku. Gdzie indziej przyjęliby je jako doskonałe referencje dla autora na przymusowy pobyt w psychiatryku. Gdzie indziej tak, ale nie w NSA.

Tutaj wielokrotnie już okazywało się, że to, co nie mieściło się w ich uczonych głowach, wykształconych w najlepszych amerykańskich uniwersytetach, w jakiś przedziwny sposób potrafiło ułożyć się w logiczną całość w mózgownicach innych, anonimowych geniuszy, a może tylko szaleńców, coraz częściej napędzanych już nawet nie kasą, a nienawiścią i nakazem zabijania i niszczenia tego wszystkiego, co biały człowiek z takim wysiłkiem zbudował tu przez ostatnie dwieście lat.

Tym razem jednak miał wrażenie, że albo to on przeholował z cudownym, złocistym płynem, albo raczej zawodowa czujność i ostrość widzenia opuściły O'Briena na jakiś bliżej nieokreślony czas.

No bo broń tak nowoczesna, że jeszcze jej nie ma, pojawia się w arsenale najgroźniejszego przeciwnika tylko po to, by zostać sprzątniętą przez jakichś zaturbanionych bandytów?! I nie można

jej użyć, jeśli nie dysponuje się magiczną wiedzą, która zagubiona gdzieś tysiące lat temu odnajdzie się pewnie w najmniej odpowiednim momencie?! Rzecz jasna, znowu w obozie wroga... Trochę to śmierdzi scenariuszem sensacyjnego filmu klasy B... I to już z daleka.

– Taak... – powtórzył. – Ekstra!...

Wyprostował przed sobą splecione ręce, aż kości strzeliły, i przeciągnął się w fotelu.

A cóż na ten frapujący temat jajowate głowy?

Wyjął z teczki oba załączniki.

Gdyby ekspertyza Schwartza – specjalisty od niebieskich laserów napisana była w języku chińskim, odmianie mandaryńskiej, zrozumiałby pewnie tyle samo. No, może poza ostatnim zdaniem: „Mimo że wciąż niejasne są pewne aspekty dotyczące sterowalności wygenerowaną wiązką, samo istnienie działa neutrinowego wydaje się wysoce prawdopodobne”. Wreszcie coś zrozumiałego dla reprezentanta cywilizacji judeochrześcijańskiej, opartej na greckim umiłowaniu demokracji i rzymskim prawie.

Drugi z profesorów kończył w podobnym stylu: „Istnienie tabliczek *ME* graniczy z pewnością. Jedyne kłopot polega na tym, że do tej pory ich nie odnaleziono. Ale to tylko kwestia czasu”. I oryginalny podpis, podobny do poplątanego w nerwach sznurka, a znaczący pewnie „Liebermann”. Fajnie... Nie ma ich, ale raczej pewne, że są. Cieszy przynajmniej to, że nie ma w tym wewnętrznej sprzeczności. I że od razu wiadomo, na czym człowiek stoi.

Jeśli tylko na tej podstawie O'Brien wyrobił sobie zdanie...

Podniósł się i przeszedł po pokoju. Krążył chwilę wokół wiekowego biurka.

Hmm... Do tej pory O'Brien nie pomylił się ani razu, to prawda. Nawet wtedy, kiedy on, stary wyjadacz, nadział się na aferę z planowanym desantem rzekomych dywersantów z komunistycznej Korei na wyspę Czedzu. To właśnie O'Brien przekonywał go, że najprawdopodobniej to prowokacja. Że to Seul próbuje ich wmanewrować ze strachu o własną skórę. I miał rację... To również O'Brien chyba jako pierwszy zwrócił uwagę, że przy odrobinie wyobraźni zagro-

zenie dużych miast atakiem z powietrza może być całkiem realne... Niestety, tu się też nie pomylił... Ma chłop nosa. Na lotnisku przy wykrywaniu narkotyków poradziłby sobie bez psa.

Ale, cholera, czy technologiczne możliwości tych pieprzonych ruskich rzeczywiście stoją na tak wysokim poziomie, żeby pozwoliły na wykonanie broni tego typu?!... I to w absolutnej tajemnicy przed wszystkimi?!... Przecież do tej pory zawsze były jakieś przecieki, a tu nic. Kompletnie. Tu zdaje się jest pies pogrzebany... Tak... Ciekawe, jak im się to wszystko udało?

Ponownie zapadł się w fotelu. Przechylił szklankę. Ostaniam kropla przyjemnie zapiekła go w język. Długo jeszcze się zastanawiał.

– Hmm... – mruknął w końcu, zamykając teczkę. – Ostatecznie to O'Brien jest tu ekspertem. To on będzie się gimnastykował przed towarzyszami z CIA...

Największy problem Hopkinsa polegał właśnie na tym, że NSA była tylko od zbierania i analizowania informacji. Nie dysponowała własnym „aparatem wykonawczym”, jeśli można to w ten sposób określić. Jeżeli wpadła na trop jakiejś afery, jej ostateczne rozwiązanie odbywało się dzięki pomocy agentów CIA lub FBI. Tylko tam były cyngle. Jedyny kłopot w tym, że ich szefowie jakoś nie byli skłonni dawać wiary tym świetnie przygotowanym przez ludzi Hopkinsa raportom. Zawsze wszystko wiedzieli lepiej i sami decydowali, w co wchodzić, a w co nie, które zagrożenie jest realne, a które to tylko nieszkodliwe wariactwo.

Ponieważ wszystkie trzy agencje były niezależne, a rządowy koordynator z ustanowionego przecież całkiem niedawno Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego chyba nie bardzo jeszcze wiedział, na czym ma polegać jego zadanie, poza perswazją Hopkins nie dysponował żadnymi środkami nacisku, by zmusić ich szefów do czegokolwiek. By w końcu jednak ruszyli swoje tłuste tyłki i jakoś zareagowali.

To prawda, w ostatnim czasie, po feralnym 11 września, usprawiono nieco rozmaite procedury, udroźniono system przepływu informacji. Ale co z tego, skoro we wzajemnych relacjach ciągle

panuje status quo? Ciągłe ci spece z Langley⁴ patrzą na nich mocno z góry jak na nieszkodliwych, acz uciążliwych idiotów, których lepiej omijać szerokim łukiem.

Hopkins dopiero dwa dni temu wrócił z urlopu. Wiedział, że dyrektorem Departamentu Tajnych Służb CIA przestał być już ten dęty sztywniak Mathew Simpson. Całkiem niedawno zastąpił go ktoś nowy. Nie zdążył do tej pory poznać go osobiście, nie zapamiętał nawet jego nazwiska. Słyszał tylko, że to jeszcze większy służbista i mądrała od poprzednika.

Czyli nie ma co liczyć na przełom w stosunkach bilateralnych, jak mawiają spece od dyplomacji.

Spojrzał ponownie na zamkniętą zieloną teczkę.

Czemu takie coś zaraz po urlopie?... Takie cholerne coś!...

Czasami ma już dość. Wtedy możliwe są dwie opcje. Albo zaczyna liczyć miesiące do emerytury, albo wstaje od biurka i podchodzi ze szklanką do barku.

Wstał. Podszedł. Z głębi, spomiędzy butelek, wyciągnął osiemnastoletnią Chivas Regal na specjalne okazje. Odkorkował. Na takie myśli naprawdę nie ma nic lepszego. Postawił szklankę na biurku i zapadł się w fotelu.

Ciągle jeszcze bił się z myślami.

– Taak... – odezwał się wreszcie. Przyglądził dłonią wąsy i pochylił do mikrofonu. – Patty, zadzwoń proszę do Langley. Dowiedz się, kto tam teraz jest na miejscu Simpsona, i połącz mnie z nim... I, proszę, zrób mi jeszcze jedną kawę.

Mimo przestróg lekarzy i wczesnej pory zapalił już drugie tego ranka cygaro.

– Na miejscu dyrektora Simpsona jest teraz Anthony Bruce. Łączę.

Podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Tu Jeremy Hopkins z Fort Meade. Nie miałem jeszcze okazji, bo dopiero wróciłem z urlopu.

⁴ Langley – główna siedziba CIA w Wirginii, na północny zachód od Waszyngtonu.

Gratuluję nominacji... Świetny pomysł! Tak... I chyba nawet znalazł się pretekst. Właśnie siedzę nad całkiem nową sprawą. Wygląda na to, że bez waszej pomocy się nie obejdzie... Nie, nie, zawsze wysoko cenilem wasz profesjonalizm... Tak... Mógłbym wpaść do pana jutro z rana? Przedyskutowalibyśmy sobie szczegóły... Rozumiem... To może wobec tego trochę później?... Dobrze, zatem do jedenastej. Cześć!

Odłożył słuchawkę, splótł dłonie na karku i znowu gdzieś błędził myślami. Wąska smużka dymu unosiła się znad popielniczki i na tle lejącego za oknem deszczu, kreśliła niezrozumiale skomplikowane pętle.

– Patty, bądź tak miła i odszukaj O’Briena. Powiedz mu, że jutro przed dziesiątą jedziemy do Langley, do dyrektora Bruce’a. I niech się porządnie przygotowuje... Bardzo porządnie. – Dopił resztę whisky i wyłączył mikrofon. – Nie możemy pozwolić, żeby te skurwysyny pół świata zamieniły w piekło – powiedział już tylko do siebie.

III

NADSPODZIEWANIE SZYBKIEGO KONIEC HISTORII

Już prawie godzinę jechali na południowy zachód. Najpierw międzystanową autostradą numer 95, a teraz 495. Ruch był potężny, a deszcz lał tak jak wczoraj. Albo jeszcze lepiej. Gdyby nie masa lecących z drzew liści, można by pomyśleć, że to wiosenna burza. Wycieraczki z trudem radziły sobie z potokami wody.

Kiedy minęli Potomak, kierowca musiał zwolnić jeszcze bardziej, bo ledwo co było widać. Szczęśliwie pozostały już tylko nieco ponad trzy mile.

Skręcili w prawo w George Washington Memorial Parkway.

Jechali w całkowitym milczeniu. Doskonale wiedzieli, że na miejscu czeka ich ciężka przeprawa. Bardzo ciężka.

Jeszcze raz układali w głowach plan działania. Zastanawiali się, z której strony zostaną zaatakowani i jakiej użyć broni, by nie polec już na samym początku.

Hopkins oczyma wyobraźni dojrzał już ten złośliwy, drwiący uśmiešek na twarzy następcy Simpsona, kiedy zacznie referować. Dojrzał uśmiešek, chociaż samej twarzy jeszcze sobie na dobre nie wyobrażał.

Schowany za czarnymi okularami O'Brien spodziewał się natomiast frontalnego ataku ze strony gospodarzy zaraz od wejścia, potem ich spektakularnej klapy i powrotu do domu z niczym. Dokładnie tak samo jak pół roku temu.

Zjechali w prawo z głównej drogi.

– No... – odezwał się kierowca – wjeżdżamy na terytorium wroga.

– To załaduj pocisk burząco-penetrujący, George – poradził Hopkins. – I bacznie obserwuj przedpole.

– Albo lepiej od razu wywieś białą flagę – wtrącił sceptycznie O'Brien.

– Ken, nie poznaję cię! Uszy do góry!... Wchodząc do ringu, nie możesz myśleć o porażce... Zobaczysz, to będzie twój zwycięski bój, twój wielki sukces! – Starał się podtrzymać go na duchu, poklepując po ramieniu. Zrobił to jednak tak bez przekonania, jakby sam nie wierzył w to, co mówi.

Zatrzymali się przed wartownikiem, przy północnym wjeździe. Ruszyli dalej. Na razie szło jak po maśle. Kiedy przejechali obok wycofanej już ze służby dumy amerykańskiego wywiadu, stojącego obok drogi SR-71 Blackbird, skręcili w lewo i wjechali na parking dla VIP-ów, tuż przy wejściu do budynku.

– Witam panów. Nie zabłądziliście w tej ulewie? – przywitał ich szpakowaty, ostrzyżony na krótkiego języka i wysoki jak tyka nowy dyrektor najważniejszego departamentu najważniejszej agencji wywiadowczej na świecie, kiedy jego sekretarka, panna Jane, otworzyła przed gośćmi drzwi gabinetu szefa.

„Dużo się nie pomyliłem” – pomyślał Hopkins ze złośliwą satysfakcją i powiedział:

– Niewiele brakowało... Co to się dzieje tu u was?! Trenujecie nadejście końca świata czy co?

– Zgadza się. Od wczoraj. U was jest lepiej?

– Tak, o wiele!... No, trochę podobnie... Właściwie to tak samo! – Uśmiechając się, wyciągnął rękę na powitanie. – Jeremy Hopkins, szef COMINT. Jeszcze raz gratuluję awansu, dyrektorze. A to pułkownik Kenneth O'Brien, moja prawa ręka.

– Miło mi. Poznajcie mojego zastępcę, pułkownik Alexander Farlowe – przedstawił znacznie niższego od siebie, zupełnie łysego Afroamerykanina, który podał im rękę bez słowa, z lekkim tylko skinieniem głowy, marszcząc przy tym czoło i podnosząc wysoko brwi, co sprawiało, że jego twarz nabierała jakiegoś diabolicznego wyrazu.

– Proszę, siadajcie. – Bruce zaprosił wszystkich do ogromnego stołu.

Hopkins zauważył, że wraz ze zmianą szefa kompletnie zmienił się również wystrój gabinetu. Co prawda wszystkie meble były nie tylko nowe, lecz także niestety nowoczesne, czego Hopkins zupełnie nie trawił i czego nie zniósłby u siebie nawet przez moment, ale tutaj potraktował to jako dobry omen. Jedyne, co pozostało po poprzedniku, co kojarzyło się z jego ciąłym „nie, to niemożliwe, to stoi w absolutnej sprzeczności z logiką i zdrowym rozsądkiem”, to wielka juka w potężnej donicy, stojąca w kącie w pobliżu okna.

– Czego się napijecie? Kawa, woda mineralna, sok owocowy?

– A co ma najwięcej procent? – zażartował Hopkins, wykonując wąsami dwa szybkie ruchy, które jego podwładni, wtajemniczeni w tiki szefa, odbierali jako zwiastun zdecydowanej poprawy nastroju.

– Chyba sok pomarańczowy.

– Nie, nie! To poproszę kawę.

– A pan, pułkowniku? – Spojrzał na O’Briena.

– Dla mnie woda... Woda mineralna.

– Tak zimno, a pan chce pić wodę? – Zdziwił się.

– Tak... Ja piję tylko wodę.

Bruce nachylił się do mikrofonu.

– Panno Jane, poproszę trzy kawy i butelkę wody „dla tego dziwaka” – dodał w myślach, spoglądając ukradkiem na dziobatego świńskiego blondyna w ciemnych okularach i zastanawiając się, za cóż to u licha Pan Bóg pokarał go tak oryginalną urodą. – No to teraz chyba możemy już przejść do konkretów – zadowolony zagadnął Hopkinsa.

– Proszę bardzo. To jest raport pułkownika O’Briena. – Hopkins podał Bruce’owi teczkę. – Wynika z niego, że jakaś nieznam nam międzynarodowa grupa terrorystów planuje zagładę całego Bliskiego i części Środkowego Wschodu...

Farlowe chrząknął, uniósł wysoko brwi i wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze swoim szefem. A może tylko tak się O’Brienowi wydawało. Hopkins spojrzał tylko znad okularów, zawiesił na moment głos, przygładził wąsa i brnął w bagno dalej.

– Prawdopodobnie z inspiracji, a na pewno z udziałem służb specjalnych Iraku i być może Egiptu. I co najmniej jednego rosyjskiego uczonego... Ken, zechciej przedstawić szczegóły.

– Naturalnie – rozpoczął O'Brien, otwierając swoją dokumentację. – Kilka dni temu generał Jalil Babbush Al-Tikriti, szef irackiej agencji wywiadu, rozmawiał przez telefon z pułkownikiem Aleksijem Mikhajlovichem Strielovem, profesorem krystalografii, zatrudnionym w wojskowych zakładach optycznych w Tomsku. Rozmowa odbywała się w języku rosyjskim. Personalia obu panów ustalili jednoznacznie nasi dźwiękowcy. Jeden był w Bagdadzie, drugi gdzieś w azjatyckiej części Rosji, być może właśnie w Tomsku. Rozmowa jest trochę porwana, ale zaręczam, bardzo interesująca. – Przerzucił parę kartek. – To jest na trzeciej stronie, dyrektorze. Cytuję: „Aleksij Mikhajlovich Strielov: Nie wywiązujecie się ze swoich zadań! Kryształy wylęgające już są. Wszystko czeka. Tylko pan, generale, ciągle się spóźnia! Jalil Babbush Al-Tikriti: Profesorze, proszę się tak nie denerwować. Dawno pan nie dzwonił. Zapewniam, że robię wszystko, co w mojej mocy... Wszystko będzie na czas. Już ja się tym zajmę osobiście. Proszę się nie...”. Tu jest przerwa. Niestety momentami były bardzo duże szумы. Mielśmy trochę pecha, bo nasz satelita właśnie wychodził z tego obszaru... Czytam dalej: „Strielov: Co pan mi tu pieprzy!...”. Znowu przerwa. „Strielov: Waszych tabliczek. Niech pan wreszcie zrozumie, do cholery, że bez tabliczek *ME* leżymy! Leżymy!!! Bez nich nie ustawię prawidłowo parametrów. Czy pan tego nie rozumie?! A wtedy wszystko do dupy! Wszystko! Cała robota na nic! Całe lata doświadczeń szlag trafi!”. Strasznie tu wrzeszczał. „Al-Tikriti: Proszę się nie denerwować. Zapewniam pana... Przecież im obiecałem, że kiedy...”. Przerwa. „Strielov: Oni myślą, że wiązka neutrin to to samo co wiązka ze zwykłego lasera rubinowego! Szlag mnie trafia, że dałem się wam na to namówić. Zabronili mi dzwonić do pana, ale ile do cholery można czekać?!... Wy wszyscy nie macie pojęcia, co to tak naprawdę jest, jakie to daje możliwości! Teraz wymagają ode mnie, żebym trafił... Wie pan w co? No, niech pan zgadnie! Śmiało! Al-Tikriti: Biały Dom? Strielov: Osza-

łał pan?!... Chce pan wywołać wojnę światową?!... W Dimonę! Chcą, żebym trafił w Dimonę. To w Izraelu. Usmażymy parę hektarów Żydków na początek, he, he, he!... Potem pewnie wymyślą coś jeszcze śmiesznieszego! Mnie wszystko jedno, ale to nie takie proste. Nie mamy jeszcze odpowiedniej...”. Przerwa. „Al-Tikriti: Żeby...” Przerwa. „Strielov: Wierzą mi, idioci!”

Odłożył raport.

– To właściwie już wszystko. Reszta niestety jest zupełnie nieczytelna. A szkoda.

Panna Jane, przystojna brunetka w średnim wieku, ubrana jak zwykle z dużą klasą, jak zwykle w pogłębiającego męskie oddechy chmurze Chanel No 5, zawsze uprzejma, zawsze taktowna i robiąca na Hopkinsie duże wrażenie, właśnie przyniosła zamówione przez szefa napoje.

– Woda? – spytała dyskretnie.

– Poproszę – odpowiedział O’Brien.

Dostał butelkę Perrier i szklankę. Przed pozostałymi panami postawiła po filiżance kawy i centralnie lub też demokratycznie blisko środka cukier i śmietankę.

– Dziękuję pani – powiedział Bruce. – Tak, ciekawe... – dodał, kiedy sekretarka wyszła. Podniósł okulary, mocno pochylił się nad leżącym na biurku raportem i przerzucając kartki, szukał czegoś w tekście. – Co to jest Dimona, mniej więcej wiemy – oznajmił z udawaną skromnością. – Ale tam dalej, zdaje się macie panowie błąd... O!... – Wreszcie znalazł. – Jest „neutrino”. A chyba powinno być „neutronów”, co? – powiedział z miną zwycięzcy, spoglądając na dziobatego prelegenta.

– Nie. Wszystko jest tak, jak powinno, dyrektorze... Może wobec tego od razu wyjaśnię. Laser neutrinowy to, jak każdy laser, urządzenie emitujące spójną, uporządkowaną wiązkę. W tym wypadku właśnie neutrin. Neutrino jest jedną z cząsteczek elementarnych. Nie ma ładunku elektrycznego i praktycznie pozbawione jest masy. Dlatego materia jest dla neutrin przezroczysta. Przechodzą przez wszystko w ogromnej ilości, z prędkością bliską prędkości światła. Nie wyłączając nas i waszej kawy.

– Poważnie?! – Bruce podejrzliwie spojrział na swoją filiżankę, nakrywając ją dłonią.

– Tak. Dlatego ja piję wodę... Żartuję, w wodzie też są... Współcześni uczeni już wiedzą, że neutrina można generować sztucznie. Wystarczy pobudzić do drgań sieć niektórych szczególnie twardych kryształów.

– A skąd one się biorą w naturze? – wtrącił Farlowe, marszcząc czoło.

– Powstają we wnętrzach gwiazd jako spaliny w reakcjach termojądrowych. Przemierzają potem kosmos we wszystkich kierunkach, przenikając przez materię jak jakieś duchy... Jeżeli udałoby się wytworzyć spójny strumień neutrin, będących w tej samej fazie, i skupić go na jakimś odległym przedmiocie, przedmiot ten w ułamku sekundy eksplodowałby, zamieniając się cały w energię. Atomy, z których był zbudowany, przestałyby istnieć. Tak opisują to współcześni uczeni... Byłaby to broń doskonała, broń, przed którą nikt nigdzie nie zdołałby się ukryć. Żadne betonowe podziemne bunkry nie są tu więcej warte niż kartka papieru czy parasol. Neutrina ich po prostu nie widzą. Przechodzą przez wszystko – powtórzył.

– Zaraz, zaraz... Czegoś tu nie rozumiem – odezwał się ponownie Farlowe, jak śledczy przesłuchujący podejrzanego o defraudację funduszy publicznych. – Coś tu się nie trzyma kupy.

– Mianowicie?

– Mianowicie, w jaki sposób dochodzi do eksplozji materii, skoro neutrina przez wszystko przechodzą i niczego nie widzą?

– Dobrze pytanie. Tak samo jak normalne światło słoneczne ogrzewa pańską dłoń – wyjaśnił O'Brien. Zauważył, że Farlowe jest znacznie bystrzejszy od Williamsa, którego miejsce obecnie zajmował. To go cieszyło, bo lepiej przekonywać do swoich racji kogoś jarzącego, o czym się mówi, niż mieć do czynienia z takim, który niczego nie kapuje, a na wszystko ma gotową odpowiedź. – Jak puści je pan przez szkło powiększające, to pana oparzy. A gdyby je uporządkować w laserze, przepalił panu rękę na wyłot... Tutaj łączą się te dwa doświadczenia. Skupieniu ulegnie duża

liczba uporządkowanych wiązek lasera. Tylko że laser wyśle nie promień światła, który zatrzymałby się na pierwszej poważniejszej przeszkodzie, lecz strumienie neutrin. Te strumienie oddzielnie nie będą zbyt groźne. Tak jak nie są groźne, przechodząc przez pana w tej chwili – przypomniał mu. – A więc przejdą niezauważone przez wszystkie przeszkody, dopóki nie ulegną skupieniu w jakimś określonym punkcie w przestrzeni. Tam, przez ułamek sekundy, nastąpi takie nagromadzenie energii, że sama materia też natychmiast zamieni się w energię. I to w niewyobrażalnie wielką ilość energii. O wiele skuteczniej, niż dzieje się to w bombie atomowej. Dojdzie do potwornej eksplozji.

– Pierwsze słyszę o czymś takim. – Z brwiami wciągniętymi wysoko na czoło, z niedowierzaniem kręcił swoją łysą głową. O'Brien zauważył, że każda wypowiedź Farlowe'a okraszona była tym charakterystycznym tikiem.

– Nie dziwię się. To stosunkowo świeża koncepcja. Do tej pory zresztą byliśmy przekonani, że to urządzenie istnieje tylko w teorii. Nasi uczeni wprawdzie potrafią już generować strumienie neutrin, ale ciągle nie radzą sobie ze sterowaniem nimi, nie mówiąc już o ich fazowym porządkowaniu czy skupianiu. Ciągle pozostają na wstępnym etapie, czyli ich sztucznego wzbudzania, co też podobno nie jest wcale takie proste. A tymczasem okazuje się, że towarzysze radzieccy, przepraszam, rosyjscy...

– Cholera! Mają to?! – zakrzyknął Bruce, z wrażenia krztusząc się kawą. – Hrrm!... Przepraszam.

– No właśnie, z tym jest poważny problem...

– O rany!... Hrrm! Hrrm!... Przepraszam... – Czerwony na twarzy, próbując doprowadzić się do porządku, chrząkał i wiercił się na krześle. – Czyli co, nie wiemy, czy to mają, tak? Hrrm!...

– Niech pan podniesie ręce do góry, szybciej panu przejdzie. – Hopkins zaproponował zapamiętany z dzieciństwa sposób. – To podobno pomaga. Jak byłem mały, często się krztusiłem.

– Dziękuję... Hrrm... Już mi przechodzi. Przepraszam. Przepraszam bardzo.

– Wracając do tematu – kontynuował Hopkins. – Niezupełnie o to chodzi, czy oni to mają, czy nie. Jeżeli pan pozwoli, odpowiem na to pytanie zostawimy sobie na deser. Najpierw załatwmy to, co łatwiejsze, co nie budzi żadnych wątpliwości... – Zrobił przerwę na łyce kawy i przetarcie wąsów chusteczką. – Po pierwsze skutki. W Dimonie jest oczywiście nie tylko elektrownia atomowa. Przede wszystkim chodzi o zgromadzone tam głowice. Według naszych szacunków mają ich tam już kilkaset.

– Tak. Około trzystu – potwierdził Farlowe. – Z tego część to głowice termojądrowe.

– Ekstra!... Zamachowcom chodzi o doprowadzenie do wybuchu w elektrowni. To pewne. Wiedzą, że to elektrownia atomowa, i liczą, że nastąpi coś w rodzaju drugiego Czarnobyła, że w ten sposób doprowadzą do paniki w Izraelu albo może, że go nawet całkowicie zniszczą. Ale nie dałbym głowy, czy zdają sobie do końca sprawę, jakie będą tego dodatkowe konsekwencje.

– Dlaczego? – spytał Bruce.

– Bo jeżeli mówią o Dimonie jako o celu uderzenia, to znaczy, że nie rozumieją skali zjawiska. Zupełnie. Nie wiedzą, jak potężna ilość energii się uwolni. Jeżeli wiązka neutrin skupi się wszystko jedno na czym: na paliwie w reaktorze, którejś z głowic albo na czymś zupełnie obojętnym, na przykład na kierowcy przejeżdżającej ciężarówce, albo, nie wiem, torebce kobiety idącej do sklepu po zakupy, to wyzwoli się tyle energii, że eksplozja wszystkich pozostałych głowic jest murowana. W ułamkach sekund nie tylko Izrael, ale cały Bliski Wschód dosłownie zamieni się w piekło.

– A prawdopodobnie jeszcze Egipt, kawał Libii, Sudanu i Turcji – wyliczał O'Brien. – Powstanie krater o średnicy kilkudziesięciu mil i głębokości kilkunastu. Skały, które nie zamienią się od razu w energię, częściowo odparują, a częściowo ulegną stopieniu i zostaną wyrzucone do stratosfery, a może i mezosfery. Reszta świata, w mniejszym lub większym stopniu, na długie lata zostanie pokryta radioaktywnym popiołem. Długotrwała zima zapoczątkuje nową epokę lodowcową.

– Hmm... Przedstawia nam pan tutaj obraz apokalipsy o zasięgu globalnym – zauważył Bruce. – Prawie jak w jakimś filmie katastroficznym.

– Bo też właśnie tak może to wyglądać – zapewnił. – To najbardziej prawdopodobny scenariusz. O ile nie uda nam się pokrzyżować im szyków... Jeżeli zamachowcami są Egipcjanie i Irakijczycy, to znaczy, że mimo woli wykonają wyrok również na swoich narodach.

– Tak... To logiczne... Ale kiepska to dla nas pociecha. Może jeszcze kawy? – zaproponował i nie czekając na odpowiedź, włączył mikrofon. – Panno Jane, poproszę jeszcze trzy kawy.

– Dlatego koniecznie trzeba im w tym przeszkodzić... Po to właśnie do was przyjechaliśmy. – Hopkins pogładził swoje bujne wąsy, co było oznaką całkowitej pewności siebie. Poczul już, że odbili się od dna i płyną w górę ku powierzchni. Ta druga kawa jest tego najlepszym zwiastunem.

– W ostateczności można ich poinformować listownie, żeby się nie wygłupiali, bo osmala sobie i krewnym łapki – zażartował Bruce.

– Można, tylko że niestety nie znamy ich adresu.

– No tak. Szkoda... – Odchylił się do tyłu, balansując na krześle stojącym w tej chwili tylko na dwóch nogach.

Dłuższą chwilę, zapominając chyba i o gościach, i o okolicznościach, zamyślony bujał się wolniutko do przodu i do tyłu, jak na koniu na biegunach. I Hopkins, i O'Brien, nawet Farlowe, obserwowali go, zastanawiając się, co też chodzi po głowie dyrektora Bruce'a i co dobrego z tego bujania wyniknie.

Wreszcie opadł krzesłem na cztery nogi i dwukrotnie przejechał dłonią w tę i z powrotem po srebrnym języku na głowie.

– Nie no, sprawa jest oczywista! – odezwał się wojowniczo. – Trzeba dobrać im się do dupy! I to jak najszybciej... Wcisnąć to działa tak, żeby nosem im wyszło! He, he, he!...

Wreszcie także O'Brien odetchnął z ulgą. Czuł, że już mają z górki, że już złapali byka za rogi.

– A o co chodzi z tymi tabliczkami? Nie bardzo zrozumiałem... Optymizm O'Briena chyba jednak był przedwczesny.

– Co to są tabliczki... – Bruce, z okularami na czole, nosem wodził po tekście. – ...Tabliczki... Tabliczki *ME*?

– Niestety, z tym jest jeszcze większy kłopot niż z działem... – uprzedził O'Brien. – Pan też, pułkowniku, nie słyszał o tabliczkach *ME*?

– A powinienem?

– Nie o to chodzi. Postaram się wobec tego w paru zdaniach wyjaśnić, bo to rzeczywiście kluczowe dla całej sprawy pojęcie. Najpierw odrobina historii... Najstarszą cywilizacją na Ziemi był Sumer, tak?

– Podobno. – Bruce przysunął sobie filiżankę i jeździł teraz palcem w kółko po jej złotym brzegu. Raz w lewo, raz w prawo. Po jednym obrocie. I znowu. Niestety, panna Jane, wnosząc kawę i wymieniając puste filiżanki na pełne, zepsuła szefowi tę intelektualną rozrywkę.

– Na pewno – zaręczył O'Brien, kiedy wyszła. – Przynajmniej w świetle dotychczasowej wiedzy... Wiem, że to zabrzmi nieprawdopodobnie, bo po Sumerach prawie nic się nie zachowało, ale tabliczki *ME* to pozostałość właśnie po ich kulturze... Dokładnie mówiąc, nie po Sumerach, tylko po ich bogach, a konkretnie po jednym z nich. Nazywali go Enki, czyli „Pan Ziemi”. Był największym uczonym i konstruktorem tego starożytnego świata. Na tabliczkach *ME* zapisał całą swoją wiedzę. Na różne tematy. To, co dla nas istotne, dotyczy pewnych rozwiązań technicznych z dziedziny wojskowości.

Nastrój konsensusu bywa jak bańka mydlana. Potrafi prysnąć w jednym momencie. Ten moment właśnie nadszedł.

Obaj gospodarze spoglądali w tej chwili na O'Briena z zastygłym na ustach, lekko drwiącym uśmiechem. Dokładnie tak, jak jeszcze pół godziny temu wyobrażał to sobie Hopkins.

Bruce zdaje się już wcześniej miał wyrobione zdanie na temat tych bazarzy, naiwniaków z Fort Meade. Działo neutrinowe, boskie tabliczki... O mały figiel, a daliby się nabrać. Ale wreszcie wyszło szydło z worka. Wreszcie okazało się, na jakich to uczonych podstawach oparta jest cała ta ich teoria. I pomyśleć, że na takie wyssa-

ne z palca dyrdymały marnują sprzęt wart setki milionów dolarów! Boże, kto i dlaczego zatwierdza dla nich budżet?!... Na szczęście zawodowa czujność opuściła Bruce'a tylko na chwilę i wróciła we właściwym momencie.

Farlowe, z wciągniętymi na czoło brwiami, myślał całkiem podobnie. Tak. Jeden z tych wąsami i manierami, cholera, hiszpańskiego hidalgą, drugi przemądrzały, mimo pochmurnego listopada schowany za jakimiś ciemnymi okularami, stanowią zdaje się doskonałą reprezentację swojego departamentu. Departamentu naiwniaków i próżniaków. Ciągłe gdzieś węszą, cholera, podsłuchują, podglądają wszystkich zawsze i wszędzie, więc już im się pieprzy, co rzeczywistość, a co fikcja. Jak on to powiedział?... Rozwiązania techniczne z dziedziny wojskowości jakiegoś, cholera, boga Sumarów, na jakichś pieprzonych tabliczkach! Nieźle! Brzmiało bardzo uczenie! Oni chyba naprawdę myślą, że na takich wygłupach polega prawdziwa walka z wrogami Ameryki... Kto wie, czy ich tutaj, w Langley, też czasem nie podsłuchują? Kto wie, cholera, kto wie?... Trzeba by to kiedyś dokładnie sprawdzić...

Bruce, mimo że już wiedział, czym zakończy się to dzisiejsze spotkanie, będąc gospodarzem, musiał do końca zachować zimną krew. Znany z ognistego temperamentu Farlowe nie wytrzymał. Uniósł brwi jeszcze wyżej i zmarszczył czoło jeszcze mocniej.

– Mieliśmy kłótwę Tutenchamona, ożywające mumie i kosmitów. Szczęśliwie Indiana Jones jakoś sobie z tym wszystkim poradził. A teraz, twierdzi pan, że pozostawione przez jakiegoś nieznanego boga tabliczki, o których nikt do tej pory nie słyszał?!

– Indiana Jones nie walczył z kosmitami, panie kolego – skontrolował go przemądrzały reprezentant departamentu próżniaków. – Ale proszę pozwolić, że skończę.

Farlowe jednak nie pozwolił. Przeciwnie. Zaczął nakręcać się coraz bardziej.

– Wiadomo nie od dziś, że wy w Fort Meade zajmujecie się różnymi dziwnymi rzeczami, że różne niestworzone historie traktujecie ze śmiertelną powagą. Wystarczy, za przeproszeniem, że ktoś po drugiej stronie Ziemi walenie bąkała, a dla was to już próba

puczu i zamach na demokrację amerykańską. Ale my nie możemy sobie pozwolić na takie fanaberie. Nas na to, cholera, nie stać! My musimy stąpać twardo po ziemi. Nas prezydent rozlicza z tego, co robimy!... Bo my bronimy bezpieczeństwa tego kraju! – Walnął palcem w stół, brwi powędrowały mu gdzieś w okolice połowy czoła, a skóra powyżej zmarszczyła się jak akordeon. – I zapewniam pana, wiemy, cholera, jak to robić... Chyba nie liczy pan na to, że zaczniemy te pańskie opowieści traktować poważnie? – Zakończył cichutko, uzbrojony w jadowity uśmiezek.

– Czasami, jak się czegoś nie wie, człowiek zacietrzewia się zupełnie niepotrzebnie... Pański poprzednik, pułkownik Williams, też początkowo traktował nas podobnie... Później całkowicie zmienił zdanie...

– I pewnie dlatego przestał tu pracować!

– Nie sądzę, żeby akurat to zadecydowało. Proponuję najpierw wysłuchać, a potem ustalimy wspólnie, czy to, co mówię, ma jakiś sens, czy to tylko kolejna śmieszna historia, niewarta waszej fatygi hipoteza. Dobrze?

– Alex, pułkownik ma rację. Nawet nie pozwoliłeś panu skończyć. – Bruce, kręcąc z niezmaconym spokojem swoje lewe i prawe kółka po brzegu nowej filizanki, odezwał się, łagodząc napiętą sytuację. – I nie unos się tak niepotrzebnie. Panowie przecież przyjechali do nas w gości... Chociaż rzeczywiście to, co pan mówi, pułkowniku, na razie brzmi zupełnie niewiarygodnie – przyznał dyplomatycznie.

– Dziękuję, dyrektorze. Postaram się, żeby zmienił pan zdanie – powiedział O'Brien, wyciągając z teczki kilka luźnych kartek. – Wyobraźcie sobie, panowie, że Bliski Wschód już raz stał się sceną straszliwego kataklizmu. Zaledwie parę lat wystarczyło, by Sumer, cudowna kraina, gdzie kiedyś był biblijny Eden, zniknął z powierzchni ziemi. Teraz zanos się na coś jeszcze gorszego... Nie możemy na to pozwolić tylko dlatego, że pan nie chce mnie wysłuchać... – Jego ciemne okulary skierowane były na ciągle wzburzoną twarz Farlowe'a. – To, co się tam wtedy wydarzyło, nie było wynikiem wojny, w której włóczniami i mieczami walczone w konnych rydwanach. Pozwolicie na jeszcze jeden krótki cytat?

– Proszę. – Bruce w tej właśnie chwili zmienił dyscyplinę. Z objężdżania palcem brzegu filizanki przeszedł na kreślenie skomplikowanych figur w notatniku.

– To jest tekst z glinianych tabliczek, zapisanych pismem klinowym. Tekst, który Babilończycy, następnicy po Sumerach mieszkańcy tamtych ziem, przepisali ze starszych sumeryjskich źródeł. – O'Brien zdjął okulary i podniósł jedną z kartek. I Bruce, i Farlowe zrozumieli wreszcie, dlaczego chowa się za ciemnymi okularami. Jego lewe oko pozostawało zupełnie nieruchome. – „Po jasnych rozbłyskach zapadła ciemność, potem zerwała się burza. Wirujący w ciemnej chmurze zły wiatr z czeluści niebios przyniósł mrok, zamazał ciemnością słońce na widnokręgu, choć dzień trwał jeszcze, w nocy przerażająca jasność pobłyskiwała na horyzoncie, w jej blasku wschodzący księżyc zniknął. Gdy następnego ranka wstał świt, od zachodu, od strony Morza Górnego począł wiać huraganowy wiatr, ciemnobrązową chmurę popędził na wschód, chmura szła w kierunku ziem zamieszkałych. Dokądkolwiek dotarła, kosą śmierci bezlitośnie podcinała wszystko, co żyje. Z Doliny bez Miłosierdzia, przez błyski jasności zrodzona, śmierć powędrowała do Sumeru. Ludzie w ich ziemiach nie uszli szponom złego wiatru, daremnie starali się uciec. Śmierć była niewidzialna, pola i miasta atakowała jak duch. Przez najwyższe i najgrubsze mury przechodziła jak powódź, żadne drzwi nie mogły jej odgradzić, żaden rygiel zawrócić. Ci, którzy zamykali drzwi za sobą, w środku padali jak muchy, ci, którzy uciekli na ulicę, w stosach leżeli na ulicach, powaleni. Płuca zatykała im flegma, usta mieli wypełnione płwociną i pianą. Kiedy niewidzialny zły wiatr ogarnął ludzi, ich usta były mokre od krwi...”. No, wystarczy... – Ponownie schował się za czarnymi szklami. – To wbrew pozorom nie są wspomnienia z Hiroszimy. To tekst z glinianych, znalezionych w Mezopotamii, tabliczek. Historia sprzed czterech tysięcy lat, dokładnie z 2024 roku przed Chrystusem... Może to tylko przypadek, ale prawie dokładnie w tym samym miejscu zanosi się na powtórkę. Tylko że tym razem na zdecydowanie większą skalę... Tym razem zostaną zbudzone demony, przed jakimi współczesny człowiek nigdy jeszcze nie truchlał.

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

– Można na to różnie patrzeć, panie pułkowniku – zauważył Bruce, odkładając długopis.

– Można – przyznał z kolei Hopkins, wyciągając cygaro.
– Można?

– Proszę, tu jest popielniczka. – Podsunął mu prawie pod sam nos.

Hopkins obciął czubeczek i zapalił, wypuszczając kilka kłębow dymu.

– Można to traktować jak konfabulacje upalonego haszyszem szamana, jak wizje wrażliwego na nikczemności doczesnego świata poety, który kropnął sobie kilka kolejek, żeby wyobraźnia mu lepiej buzowała... Tak to pewnie odebraliście, co?

– Niezupełnie... Ale blisko, blisko.

– No właśnie. W taki sposób traktuje to większość ludzi... Wtedy rozmowę Strielova z generałem Al-Tikriti potraktować można w podobnej konwencji, czyli jako stek bzdur. Wrzucić raport do kosza i o wszystkim zapomnieć... Ale można również przyjąć taki oto punkt widzenia... – Pyknął dwa razy. – Założyć, że bogowie Sumerów zbudowali wspaniałą kulturę o takim stopniu rozwoju, do jakiego dopiero współcześnie zaczynamy dorastać. Jaki dopiero dzisiaj zaczynamy rozumieć. Założyć, że to realny opis historycznego wydarzenia... Prawie identyczne znaleźć można w tylko nieco późniejszych eposach indyjskich. – Otworzył swój notes. – Cztery krótkie zdania z „Mahabharaty”: „Słońce zdawało się chować w niebie. Ziemia zadrżała, sparzona przerażającym żarem tej broni. Słonie rzuciły się w płomienie i biegały tu i tam jak oszalałe. Inne zwierzęta padały na ziemię i umierały”. Trochę podobne, prawda?... Obaj poeci pili to samo?!... Zwróćcie, panowie, uwagę, tu już wyraźnie mówi się, że użyto jakiejś broni, a nie że doszło na przykład do erupcji wulkanu... Takich opisów w najstarszej literaturze świata jest sporo. Tylko nikt nie traktował ich do tej pory poważnie. Dlaczego?... – Gładząc nobliwie wąsy, spojrział pytająco na słuchaczy.

Ani Bruce, ani Farlowe nie mieli jednak na ten temat wyrobionego zdania.

– Skoro 7000 lat temu – kontynuował – księżę Rama ze swoją żoną Sitą uciekał ze Sri Lanki do Ajodhji w północnych Indiach wimaną, czyli „pojazdem latającym”, pokonując około dwóch tysięcy mil ze średnią prędkością dwieście mil na godzinę, to muszą to być brednie, bo pierwszy samolot wzbił się w niebo dopiero w 1903 roku i przeleciał raptem sto osiemdziesiąt trzy stopy. Taki tok rozumowania przyjmowali do tej pory badacze.

– A pana to dziwi?... Przecież te pańskie cytaty stoją w całkowitej sprzeczności z dotychczasową wiedzą!

– I do tego właśnie zmierzam! Współcześnie ta dotychczasowa wiedza zaczyna się zmieniać... Coraz więcej faktów wydobywanych spod ziemi świadczy, że było zupełnie inaczej, niż do tej pory sądzono. Wielka liczba szczegółów technicznych, zamieszczonych w starożytnej literaturze, poraża swoją precyzją. To nie mogły być tylko wytwory wyobraźni, to musiało istnieć realnie... Zwróć panom uwagę na jedno zdanie Strielova. – Sięgnął po raport. – „Niech pan wreszcie zrozumie, do cholery, że bez tabliczek *ME* leżymy! Leżymy!!! Bez nich nie ustawię prawidłowo parametrów”. To wykrzyczał do słuchawki nie szaman, nie poeta, tylko zdesperowany poważny rosyjski uczoney!... Wojskowy specjalista od krytalografii, któremu najwyraźniej brakuje jakichś istotnych danych, by odpalić najnowocześniejszą broń na świecie! Broń, o jakiej nasi uczeni dopiero nieśmiało teoretyzują!

– O ile dobrze go zrozumieliście. – Farlowe sięgnął po papierosa. – Może to po prostu jakiś błąd w tłumaczeniu?

– Fragment, gdzie pada to zdanie, jest akurat bardzo wyraźny, bez żadnych zniekształceń. O błędnym tłumaczeniu w tym miejscu nie może być mowy.

– A może to prowokacja? Albo jakiś kryptonim?!... Przecież tabliczkami *ME* mogą nazywać zupełnie co innego, niż zakładacie.

– Zastanawialiśmy się i nad tym, pułkowniku. Starożytne tabliczki *ME* to wytwór sumeryjskiego boga i niczyj więcej. Obszar cywilizacji Sumeru to współczesny Irak. Gdyby Strielov domagał się tabliczek od kogoś innego, Koreańczyka, Japończyka, nie wiem, Niemca, Amerykanina, to co innego. Można by przyjąć, że

to zupełnie inne tabliczki, jakiś współczesny wynalazek, a zbieżność nazw jest zupełnie przypadkowa. Ale on rozmawiał właśnie z irackim generałem... Rozumiecie?

– Rozumiemy – potwierdził bez przekonania Bruce. – Ale czego ma to dowodzić?

– Jak to czego?... A cóż tak supernowoczesnego umieliby wyprodukować współcześni Irakijczycy, czego nie potrafiliby zrobić Rosjanie?... Przecież nawet kałachy i czołgi kupują w Rosji i u Chińczyków, bo dla nich to zbyt skomplikowana technologia!... – O'Brien zrobił przerwę na dwa łyki wody z neutronami. – Co do prowokacji... Nie odrzucamy takiego wariantu, chociaż doszliśmy do wniosku, że prowokacja nie miałaby sensu. Ciągłe przecież nie wiemy gdzie, nie wiemy jak, nie wiemy kiedy i praktycznie nie wiemy kto. Prowokator nie uzyskałby niczego, poza zwiększeniem aktywności naszych służb na tamtym terenie.

– Chyba że będzie jeszcze jakiś ciąg dalszy.

– Jeżeli będzie, wszystko rozważymy jeszcze raz... – zapewnił Hopkins. – W tej chwili naszym zadaniem, panowie, jest dostrzec związek między owymi tabliczkami *ME* a planowanym uderzeniem na Dimonę. Dlaczego?... Bo konsekwencje mogą być straszne... Żebyśmy potem, gdy ćwierć świata wyleci w powietrze, a reszta zesra się ze strachu w oczekiwaniu na chmurę radioaktywną, nie musieli się tłumaczyć, że owszem, mieliśmy informacje, ale je olałiśmy, bo taki wariant wydawał nam się nieprawdopodobny.

– No dobrze, ale jak ten Strielov zamierza użyć jakichś glinianych tabliczek sprzed kilku tysięcy lat do ustawienia parametrów tak nowoczesnego działa?! – Zdziwił się Farlowe, a wojowniczy ton, cechujący jeszcze przed kilkoma chwilami jego wypowiedzi, stopniał jak wielkie płatki śniegu na szybie okna.

– Tego niestety jeszcze nie wiemy... Natomiast tabliczki *ME* nie są gliniane, to pewne. Z literatury wiadomo, że jest ich zaledwie nieco ponad sto i że zawierają całą boską wiedzę. Dlatego na pewno nie są gliniane. Przeciwnie, muszą mieć olbrzymią pojemność. To jest raczej coś podobnego do naszych płyt CD, jakies dyski z danymi... Babilończycy wielokrotnie wspominają, że Enki

miał te tabliczki. Piszą, że niechętnie udostępniał je nawet innym bogom. Z grubsza znany jest nawet spis ich treści. Może to jakieś gotowe instrukcje, piorun wie.

– Hmm... Chyba nie chce pan powiedzieć, że to jakiś przedpotopowy komputer z oprogramowaniem? – Ciągle nie mógł uwierzyć Bruce.

– Coś w tym guście... Kłopot polega na tym, że jak pan słusznie zauważył, nikt do tej pory tego nie widział. Nikt do niedawna nawet nie podejrzewał, że to mogło przetrwać do naszych czasów.

– Tak... – Zamyślił się, gładząc srebrnoszarą czuprynę. – Proszę darować, ale ciągle nie mogę w to uwierzyć... Taka technologia na samym początku naszej historii, tysiące lat temu?

– Proszę pamiętać, że mówimy nie o wytworze człowieka, tylko boga... Bez względu na to, jak wyobrażamy sobie boskość, jest ona zapewne czymś innym, czymś więcej niż tylko sprytnym przejawem człowieczeństwa – zauważył zgrabnie Hopkins.

– Tak... – przyznał gospodarz.

– Z innych nasłuchów wiemy, że w październiku w Kairze toczyły się zakulisowe rozmowy wiceszefa służb specjalnych Egiptu, generała Hassina Al-Barraka, z tym samym irackim generałem, z którym rozmawiał Strielov. Potwierdził to zresztą wasz rezydent. To jest na szóstej stronie raportu. – O'Brien zdjął okulary i przerzucił kilka kartek. – Tematem trzech rozmów były „możliwości wykorzystania pradawnej wiedzy Sumerów w dziedzinie prowadzenia wojny nowoczesnymi metodami, zapisanej na jakichś tablicach czy krążkach”. Znalaziono je w miejscowości Niffar, w Iraku, w wykopie na terenie jakiejś fabryki, bodajże cegielni... Może chodzi właśnie o tabliczki *ME*? Nie mamy pojęcia, kiedy je znaleźli, ale to pierwsza informacja, że w ogóle zostały odkryte.

– O cholera! Przepraszam na moment. – Bruce nagle wstał i zostawiając gości, szybkim krokiem wyszedł z gabinetu.

– Czy to może po kawie? – Zdziwił się Hopkins.

– Możliwe. Skoro dowiedział się, że wypił kawę z jakimiś cholelnymi neutronami? Szef ma bardzo delikatny żołądek... Zrobiliście nam wodę z mózgu.

– Rozstrój żołądka od wody z mózgu? Osobliwa przypadłość!
– Zaśmiał się O’Brien.

– Tak, ale nie to miałem na myśli... Nie interesowałem się dotąd tak odległą historią. To, co tu czytacie... Cholera, sam już nie wiem... Czyli co? Było zupełnie inaczej, niż do tej pory nas uczono?

– Może nie zupełnie inaczej, ale dużo inaczej. Wiele na to wskazuje. To zresztą wcale nie nasza koncepcja. Opieramy się częściowo na pracach naszego eksperta, sumerologa, profesora Liebermanna. Już kilku autorów ma odwagę pisać w podobnym duchu.

– My tylko zauważamy, że mogło być właśnie tak, jak on to przedstawia – ciągnął O’Brien. – Coraz więcej uczonych coraz częściej patrzy na te sprawy w inny, nowatorski sposób. Inaczej, niż wymagają tego dotychczasowe autorytety. Nasza cywilizacja tak przyspieszyła w ciągu ostatnich dwóch pokoleń, że praktycznie w każdej dyscyplinie nauki dokonują się rewolucyjne jakościowe zmiany. Współczesna nauka przedstawia obraz zupełnie innego świata niż ten opisywany sto czy nawet pięćdziesiąt lat temu. Astronomia, biologia, medycyna, fizyka czy chemia opisują zupełnie nową rzeczywistość. Dlaczego z historią miałyby być inaczej, skoro ciągle poznawane są nowe fakty?... Nie można ich odrzucać, zamiatać pod dywan tylko dlatego, że nie pasują do łamigłówki. Może wszystko, co budowano przez kilka ostatnich stuleci, trzeba będzie potłuc i poukładać od nowa, jeszcze raz, w jakiś inny, sensowniejszy wzór?

– Może... – Podrapał się po zmarszczonym czole. – To w końcu, co tam się stało?... Myślę o tej katastrofie, o której mówił pan na początku?

– Słyszał pan już kiedyś pojęcie *nefilim*? – Zagadnął O’Brien.

– *Nefilim*?... Nie... Raczej nie.

– Pojawia się w Genesis, Pierwszej Księdze Mojżeszowej. – Podeszedł do regału z książkami, wodził wzrokiem po grzbietach, wreszcie znalazł Biblię. – Zaraz to znajdziemy... Jest... Jedenasta strona. Proszę posłuchać: „A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły. To są mocarze, którzy z dawien

dawna byli sławni”. W takiej wersji przedstawiano ten akapit jeszcze do niedawna. Współcześnie, w miejscu „olbrzymów”, występuje już nietłumaczone hebrajskie pojęcie *nefilim*. Badacze doszli już do wniosku, że *nefilim* to na pewno nie „olbrzymi”.

– A kto?

– Liebermann twierdzi, że ten termin ma swój semicki źródłosłów *nfl* i znaczy „ci, co zostali zrzuceni”... – Zajrzał do swoich notatek. – Cały ten akapit w jego tłumaczeniu brzmi tak: „Byli na ziemi *nefilim* w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, a one im rodziły dzieci. Byli to mocarze wieczności, ludzie *shem*”. *Shem* jest z kolei wyrazem pochodzenia sumeryjskiego... To po naszymu „pojazd raketowy”.

– Pojazd raketowy?!

– Właśnie tak! Pojazd raketowy!... Na obszarze współczesnego Iraku, w południowej jego części, nie wiadomo skąd, pojawili się nagle *Nefilim*, „ci, co zostali zrzuceni”, czyli „ludzie raket”, owi boscy mocarze wieczności. W powietrzu poruszali się wimanami lub pojazdem określanym mianem *kabod*. Wimana wielokrotnie występuje w Wedach, świętych księgach hinduizmu. Zawsze jest z nią związanych dwóch bliźniaków *Aświnów*, jakby pilot i nawigator. Opisy wymieniają różne typy wiman. Są więc takie jak ta księcia Ramy, podobne do współczesnego helikoptera, ale są też latające powyżej atmosfery, w kosmos. Są wreszcie całe orbitalne miasta, które toczą między sobą wojny. *Kabod* z kolei to pojazd Boga Jahwe. Ten termin ciągle jeszcze w Biblii tłumaczony jest jako „chwała Pana”. I nikt nie rozumie, co zobaczył dwa i pół tysiąca lat temu kapłan Ezechiel, żyjący na wygnaniu w ziemi chaldejskiej, kiedy przeczyta, że ukazała mu się „chwała Pana”. Tymczasem sumeryjskiego pochodzenia *kabod* oznacza „coś daleko latającego”. Jego dokładny opis jest właśnie w Księdze Ezechiela, zaraz na początku tej Biblii, którą trzymam w ręce. – Pomachał nią, krążąc po pokoju. – Czytał pan to może już kiedyś?

– Niestety nie. Tylko Genesis i to po łebkach.

– No właśnie... Proszę sobie kiedyś poczytać i samemu rozstrzygnąć, czy to, co zobaczył Ezechiel, to „chwała Pana”, czy „pojazd latający”. Polecam, to naprawdę pasjonująca lektura. Teraz nie będę

pana męczył, bo to kilka stron... Wracajmy do Iraku. Tym bardziej że ziemia chaldejska, kraj, gdzie żył ów kapłan, to też Irak... Znacznie wcześniej, zanim pojawił się Ezechiel, *Nefilim* zbudowali tam fantastyczną cywilizację, która później promieniowała we wszystkich kierunkach świata. Jednym z głównych jej architektów był wspomniany już Enki. Tysiące lat później doszło do wojny. Jej opis cytowałem na początku. To był atak najprawdopodobniej z użyciem broni atomowej albo jakiejś innej o podobnej mocy. Użyli jej oczywiście nie ludzie, lecz *Nefilim*, bogowie. Ludzie, których myśl wojskowa była na poziomie dzidy bojowej i rydwanu, doświadczyli za to na własnej skórze straszliwych konsekwencji tej wojny. Bogowie, widząc śmiertelne niebezpieczeństwo, wsiedli do wiman i ulotnili się czasowo w niebiosa. Przerażeni ludzie, pozostawieni na dole na pastwę losu, w większości pomarli w potwornych męczarniach...

Na moment zaległa cisza. O'Brien odłożył Biblię.

– No dobrze. Powiedział pan, że ci nieznani bogowie pojawili się bardzo dawno temu nie wiadomo skąd. A ludzie? Jaką rolę pełnili ludzie w tej cywilizacji bogów?

– Dobrze pytanie... Ludzi, w długim, wieloetapowym procesie, obarczonym zresztą wieloma błędnymi próbami, „wyprodukowali” właśnie ci bogowie. Wspomniany Enki wraz ze swoją przyszywaną siostrą o imieniu Ninhursag i kilkoma innymi boginiami uczłowieczyli ich, jak mówi Biblia, „na swój obraz i podobieństwo”. Połączyli materiał genetyczny praludzi z Afryki Wschodniej ze swoimi genami. Ale wbrew literaturze starotestamentowej nie stworzyli ich z miłości, również nie ot tak, bez przyczyny. Nie mogli przecież kochać ludzi, zanim ich stworzyli. To nielogiczne, prawda?

– To po co w takim razie?

– Ludzie byli im potrzebni do pomocy, do pracy. Do ciężkiej, ale mało skomplikowanej roboty. W polu, do wyrobu cegieł, w kopalniach. O to tu chodziło.

– Hmm... A kto i o co wywołał tę wojnę?

– Jak to kto?... Oczywiście, że bogowie!... Uwielbiani przez ludzi bogowie walczyli między sobą! O co?... O to samo, o co współcześnie walczą ludzie. O panowanie, o wpływy, o sukcesję.

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

- Bardzo przyziemne powody – zauważył Farlowe.
- Tak, ale proszę pamiętać, że bogowie stworzyli nas na swój obraz i podobieństwo. Cechy charakteru, jakie posiadamy, to widocznie boskie cechy.
- Czyli wojna nie jest naszym wynalazkiem, tylko bogów?
- Obawiam się, że może mieć pan rację. Ninurta i Nergal, tak brzmiały imiona tych bogów, którzy wprawdzie bezwiednie, ale przyczynili się do zniszczenia najwspanialszej kultury starożytnego świata. Na rozkaz dwunastu najwyższych bogów, bogów Wielkiego Panteonu, zaatakowali raketami Kanaan, ową Dolinę bez Miłosierdzia nad Morzem Górnym, obecnie Śródziemnym. Nie chcieli dopuścić, by ten teren, a konkretnie pewne obiekty, pozwalające im utrzymywać kontrolę nad statkami na orbicie, dostał się we władanie bardzo ambitnego boga Marduka i jego syna Nabu. Nikt, łącznie z boskimi sprawcami, nie spodziewał się tylko, że niekorzystne wiatry przygnają radioaktywną chmurę do gęsto zamieszkanego Sumeru...
- Przepraszam za to nagłe wyjście. Jak pan wymienił Niffar, nagle coś sobie uświadomiłem. – Bruce, tak jak gwałtownie opuścił gabinet, tak też do niego powrócił, uzbrojony w jakąś granatową teczkę. – W ubiegłym tygodniu, gdy byłem w archiwum, wpadło mi to w ręce, ale nie miałem czasu, żeby skończyć.
- Myśleliśmy, że pan po prostu się nami znudził – powiedział Hopkins.
- Przeciwnie! Posłuchajcie. – Usiadł, otwierając teczkę. – To raport z Ammanu, z Jordanii. „W końcu września 2001 roku na sympozjum pt. «Kultura rolna neolitu na obszarze Żyznego Półksiężycy», zorganizowanym przez Uniwersytet w Ammanie, doktor Sayf Nasrullah, jeden z pracowników Muzeum Bagdadzkiego, poinformował uczestników o jeszcze gorącym, sensacyjnym odkryciu dokonany niedaleko Niffar”. Jestem pewien, że o tym samym mówił pan przed moim wyjściem... – zauważył. – Posłuchajcie dalej!... „Nasrullah opowiadał o urządzeniu niewiadomego przeznaczenia, aparacie znalezionym w podziemnej grocie czy jakimś grobowcu. Zastrzegł jednocześnie, że jego wiedza pochodzi

z drugiej ręki, bo odkrycie jest na tyle świeże, że sam nie zdążył tego zobaczyć. Informacja szybko została zdementowana przez dyrektora muzeum, a ów pracownik jeszcze przed zakończeniem sympozjum wrócił do Iraku”... Niezłe, co?!

– Niezłe?! Wspaniałe! Moje gratulacje! – Hopkins zamaszycie ścisnął rękę Bruce’a, potrząsając nią długo. – Tu nawet może być mowa nie tyle o samych tabliczkach, ile o urządzeniu do ich odczytywania.

– O tym komputerze?

– Właśnie! Czyli mieliby wobec tego i tabliczki, i dekodery... Komputer...

– Dobra, no to co wiemy? Podsumujmy! – zaproponował Bruce.

– Po pierwsze – zaczął Hopkins – służby specjalne Iraku i prawdopodobnie Egiptu, z udziałem rosyjskiego wojskowego krystalografa Strielova, planują zaatakować Dimonę. Nie wiemy skąd, nie wiemy kiedy...

– Nie wiemy też, jak udało się namówić tego Egipcjanina... no... Al-Barraka, żeby uderzył na Izrael – przerwał Bruce. – Samobójca... Ale to wątek poboczny.

– No właśnie. Wiemy za to jak. Za pomocą lasera neutrinowego i korzystając z wiedzy zapisanej na tabliczkach *ME* – dokończył Farlowe. – Eksplozja takiej ilości głowic. To byłby prawdziwy koniec historii...

– Tak, Alex. Tylko że nigdy nawet nie obito nam się o uszy, żeby Rosjanie skonstruowali taki laser. Niemożliwe, żeby żaden z naszych ludzi nic o tym nie słyszał.

– Tak... Najwyraźniej jeszcze czegoś brakuje w naszej układance.

– U nas mówi się o tym mniej więcej od dwóch, trzech lat. Początkowo traktowano to jako czystą fantazję, śmieszna hipoteza – zauważył z przekąsem O’Brien. – A potem coraz poważniej. Ale ciągle wyłącznie na płaszczyźnie teoretycznej. Wydawało się, że Brytyjczycy i Rosjanie są na podobnym etapie co my.

– Tak... Chyba że to działo też zostało gdzieś wykopane – odpowiedział Hopkins, gasząc cygaro.

– O, widzisz! – Bruce aż pstryknął palcami. – To by tłumaczyło, dlaczego koniecznie potrzebują tych tajemniczych tabliczek!

IV

KRÓTKA HISTORIA PEWNEJ KLĘSKI

Na początku grudnia 2002 roku CIA i NSA wspólnie przygotowywały wielopłaszczyznową operację o groźnym kryptonimie „Stormbringer”. Jej celem było niedopuszczenie do zrealizowania marzenia profesora Strielowa, by pewną część naszej planety, wraz z zamieszkującą tam ludnością, zamienić w energię i w zgodzie z drugą zasadą termodynamiki rozproszyć po całym kosmosie.

Działali w wielkim pośpiechu, bo nikt nie wiedział, kiedy tajemnicze działo może być gotowe. Założenia operacji zostały naszkicowane jeszcze w trakcie listopadowej narady u dyrektora Bruce’a. Oto one:

1. Poinformowanie Izraela o nadchodzącej groźbie oraz:
 - a) nakłonienie do usunięcia z Dimony wszystkich głowic,
 - b) doprowadzenie do czasowego – nie wiadomo na jak długo – zamknięcia elektrowni atomowej w Dimonie, łącznie z usunięciem z niej prętów paliwowych.
2. Dotarcie do generała Al-Barraka w Egipcie i wyperswadowanie mu, za pomocą gratyfikacji lub szantażu, wspierania realizacji tego szalonego pomysłu.
3. Odnalezienie profesora Strielova i zaproponowanie od zaraz jakiejś ciekawej, dobrze płatnej pracy w jednym z instytutów badawczych w USA oraz wręczenie pewnej robiącej wrażenie kwoty na zagospodarowanie.
4. Odnalezienie tabliczek *ME* i ich czytnika oraz lasera neutronowego (zalecano najpierw dotrzeć do doktora Sayfa Nasrullaha z Muzeum Bagdadzkiego),
 - a) przejęcie ich – zalecane (możliwy wykup) lub
 - b) zniszczenie – w ostateczności.

Fragmety książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

www.pawel-sulkowski.pl

Szczegółowym rozpisaniem na role i przygotowaniem realizacji poszczególnych punktów zajęły się niezależne zespoły ekspertów. Łącznie przy projekcie, w szalonym tempie i prawie bez przerwy, pracowało dziewięćdziesiąt sześć osób.

Należało przygotować alternatywne scenariusze postępowania, wybrać odpowiednich ludzi, ułożyć im wiarygodne życiorysy, sfabrykować nowe dokumenty, bilety, wyposażyć w odpowiednie akcesoria, opracować trasy przerzutu, sposoby komunikowania się, punkty ewakuacji itd., itd., itd...

Wreszcie 20 grudnia rozpoczęła się właściwa faza operacji „Stormbringer” – faza realizacji.

Jej efekty?

Lepiej nie pytać. Ale skoro już zaczęliśmy...

ad 1. Rozmowy w Izraelu.

Ten punkt wydawał się najłatwiejszy. Na szczęblu szefów agencji doprowadzono do spotkania z przedstawicielami strony izraelskiej.

Niestety, Izraelczycy zdecydowanie wykluczyli realizację podpunktu b). Wyłączenie elektrowni i usuwanie z niej paliwa uranowego trwałoby miesiące, pochłonęło olbrzymią ilość energii, a żadne inne źródła nie byłyby w stanie pokryć jej braków. Import prądu z państw ościennych, czyli arabskich, nie wchodził oczywiście w rachubę. Nawet z przyjaźnie nastawionej Jordanii. To równałoby się paraliżowi państwa.

Dlatego Izrael nie zdecydował się również na realizację podpunktu a), czyli usunięcia głowic. Zresztą dokąd? Na obszarze tak małego państwa, jakim jest Izrael, nie ma drugiego równie bezpiecznego miejsca. Zaoferowana ze strony Amerykanów, Kanadyjczyków i Australijczyków pomoc w ich czasowym przechowaniu nie bardzo przypadła izraelskim decydom do gustu.

Ostatecznie przeważał jednak inny argument. „Jeżeli usuniemy głowice tylko po to, by eksplozja miała mniejszy zasięg i zniszczyła jedynie Izrael, to nie leży to w żaden sposób w naszym interesie” – tak mniej więcej brzmiało stanowisko rządu w Tel Awiwie. Trudno się z nim nie zgodzić.

W zamian Aman⁵ zaproponował daleko idącą pomoc w odnalezieniu sprawców i przedmiotów całego zamieszania. Dobrze i to, chociaż spodziewano się osiągnąć znacznie więcej.

ad 2. Dotarcie do generała Al-Barraka.

Dwoje agentów zostało wysłanych do Włoch. Już 28 grudnia boeing 747 linii Delta Airlines przywiózł ich do Rzymu na Leonardo da Vinci International Airport we Fiumicino. Do Kairu dotarli z Rzymu 2 stycznia 2003 roku rejssem KLM.

Jak to się stało, że egipski kontrwywiad aresztował ich, zanim jeszcze zdążyli skontaktować się z rezydentem CIA w Kairze, tego nie udało się ustalić do tej pory. Egipcjanie łaskawie deportowali ich ze swojego kraju, co zostało odebrane jako przejaw wyjątkowo dobrej woli. Sromotna klęska.

ad 3. Odnalezienie profesora Strielova.

Obaj agenci wylecieli 21 grudnia porannym lotem United Airlines do Berlina. Do Moskwy rejssem Lufthansy przylecieli 24 wieczorem. Następnie Aeroflotem dotarli 26 do Czelabińska na Uralu, a 31 do Nowosybirska. Wreszcie 7 stycznia 2003 roku dwupłatowiec lokalnej linii Novaja Aviacija, pamiętający jeszcze czasy towarzysza Breżniewa, wylądował w porze obiadu niedaleko Tomska na czymś, co miejscowi uparcie nazywali lotniskiem.

Owszem, zakłady wojskowe tam były, ale pięć lat temu je zlikwidowali. W zdewastowanych budynkach było kilka prywatnych warsztatów. Jeden, o wdzięcznej nazwie „Kukuruznik”, zajmował się naprawianiem takich właśnie dwupłatowców z demobilu. Pozostałe reperowały samochody z kierownicą po prawej stronie, importowane na wielką skalę z Japonii. Zdobyli nawet ostatni adres Strielova, ale samego profesora już nie znaleźli. Dowiedzieli się tylko, że mieszkał samotnie, bez rodziny. Sąsiedzi mówili, że był jakimś dziwakiem, zdaje się, że chyba nawet abstynentem. Nikt nie znał go dobrze. Polecili z powrotem do Czelabińska, bo powiedziano im, że może tam teraz pracuje.

⁵ Aman – *Agaf ha Modi'in* (Agencja Wywiadu Wojskowego Izraela).

Czelabińsk to ogromne, silnie uprzemysłowione miasto. Rze-
czywiście, po kilku dniach intensywnych poszukiwań znaleźli
w końcu Strielova. A nawet dziewięciu. Tyle że żaden nie był tym,
o którego im chodziło...

Syberia i Ural generalnie im się spodobały. Szczególnie ogrom-
ny park w zachodniej części Czelabińska, w którym... A, nieważ-
ne... Od razu rzuciło się w oczy to, że tamtejsi ludzie są bardzo
życzliwi, uczynni i sympatyczni. Zapraszają do domu, chcą często-
wać obiadem. Gdyby nie to, że w tak zawrotnym tempie piją taką
strasznie mocną wódkę, wszystko byłoby OK.

Jeżeli pominąć wspomnienia, piękne zdjęcia i te rujnujące zdro-
wie doświadczenia w szybkiej degustacji w parku, w bramie, przed
dworcem i na pozbawionej światła klatce schodowej, można by
powiedzieć, że wrócili z niczym.

23 lutego 2003 roku zameldowali się w Langley. Totalna kla-
pa? Skądże znowu! Całkiem sympatyczne zimowe wakacje. I to na
koszt firmy!

ad 4. Odnalezienie tabliczek *ME*, czytnika i działa.

Do tej misji wybrano najlepszych agentów. Bo też ta część ope-
racji była najtrudniejsza. Po pierwsze, miała być realizowana cał-
kowicie na terytorium wroga. Po drugie, poza kontaktem z Nasrul-
lahem, reszta praktycznie pozostawała jedną wielką niewiadomą.

W celu zwiększenia szansy powodzenia, zdecydowano się wy-
słać trzech niezależnie od siebie działających agentów.

Tadeusz Podlaski vel major Ted Podlasky. Dlatego że co nieco
mówił po polsku, został przedstawicielem Ars Antica, prywatnej
polskiej firmy zajmującej się pośrednictwem w zatrudnianiu pol-
skich archeologów do wykopalisk w Iraku. Firma oczywiście do-
piero była w fazie powstawania, a Podlaski pojechał do Iraku na
pierwszy rekonesans przyszłych rejonów badań. Kilku muzeom
z Bagdadu i Babilonu zamierzał również zaproponować pomoc
przy inwentaryzowaniu, oznaczaniu i katalogowaniu eksponatów.

Z Warszawy Lufthansą wyleciał 18 stycznia 2003 roku. We
Frankfurcie nad Menem miał przesiadkę. Wiadomo, że wylądował
na Saddam International Airport w Bagdadzie i skontaktował się

z dyrektorem tamtejszego Muzeum Bagdadzkiego. Potem wszelki ślad się urywa. Nie wiadomo ani kiedy, ani w jakich okolicznościach zginął.

Dr Juan Pablo da Cruz z Uniwersytetu w Barcelonie, czyli major Francis Moreno. Sumerolog zbierający materiały do pracy poświęconej sposobom prowadzenia wojen w czasach późnego Sumeru i Babilonu. Do Bagdadu autobusem z kilkoma przesiadkami przyjechał z południowo-wschodniej Turcji, gdzie wokół jeziora Wan szukał śladów wojen prowadzonych przez Hetytów. Miał nawiązać kontakt z doktorem Nasrullahem z Muzeum Bagdadzkiego.

Znaleziony martwy na pustyni w pobliżu Niffar. Zabity prawdopodobnie w połowie lutego na tle rabunkowym. Tak przynajmniej ustaliła miejscowa prokuratura. Otrzymał cios kijem lub pałąk w głowę oraz trzy pchnięcia sztyletem w klatkę piersiową. Zabrano mu wszystko, oprócz paszportu.

Ciało przekazano konsulowi hiszpańskiemu. Ten zaczął szukać rodziny.

Ostatecznie 17 marca 2003 roku da Cruz vel Moreno został pochowany na koszt Królestwa Hiszpanii na Cementerio de Montjuïc w Barcelonie. Szczęśliwie nikt nie wpadł na pomysł, by na uroczystość pogrzebową zaprosić jego kolegów z uniwersytetu.

Kiedy o miejscu pochówku dowiedzieli się prawdziwi koledzy Moreno, zdecydowali, że tak czy inaczej, ale prochy sprowadzą do ojczyzny.

I wreszcie Henry Edwards, australijska mutacja Ericha von Dänikena. W Langley znany bardziej jako pułkownik Norman Fawcett.

Podobno ma dobrze prosperującą firmę transportową we wschodnim Queensland, która zapewnia mu finansową niezależność. Na własną rękę i za własne pieniądze jeździ po świecie i szuka śladów kosmitów. Szczególnie interesuje go tzw. paleoastrofizyka, czyli dowody na odwiedzinę Ziemi z kosmosu w odległej przeszłości. Za sobą ma już badania geoglify na płaskowyżu Nazca, andyjskiego Cuzco w Peru i pozostałości piramidy Templo Mayor w Tenochtitlan w Meksyku.

Z Melbourne dotarł do Bangkoku 25 stycznia przed południem rejssem Qantas. Do Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich 26 wieczorem doleciał linią Emirates. W Bagdadzie wylądował po południu 27 lotem Turkish Airlines.

Cały czas podobno prowadzi poszukiwania. Na razie nie znalazł ani śladów kosmitów, ani tego, po co tak naprawdę został wysłany.

* * *

17 marca 2003 roku, w dniu pogrzebu Moreno, Hopkins spotkał się po raz kolejny z Bruce'em. Tym razem w Waszyngtonie i to na bardzo krótko. W związku z wielką operacją, która miała się wkrótce rozpocząć, obaj byli bardzo zapracowani.

W towarzystwie różnych generałów siedzieli w wielkiej auli Ringu B na drugim piętrze budynku Pentagonu i czekali na kolejną odprawę przed rozpoczęciem inwazji.

– Czyżby jednak spektakularna kłapa, Jerry? – odezwał się zmęczonym głosem Bruce.

– Myślisz, że to będzie najkrótsza i ostateczna recenzja operacji „Stormbringer”?

– Tyle przygotowań, ludzi, pieniędzy... Dlaczego nic nam nie wyszło?

– Tony, operacja jeszcze się nie skończyła! Bądź dobrej myśli!

– Prawą dłońią przyglądził pięknie utrzymane wąsy.

– A jeżeli on jednak tego nie znajdzie?

– Znajdzie, znajdzie! Zobaczysz, że znajdzie!... Daj mu tylko trochę czasu.

– Coraz bardziej zaczynam w to wątpić. Ile to już trwa?!... Prawie dwa miesiące.

– Tony, nie bądź w gorącej wodzie kąpany!... Na szczęście im też coś nie wychodzi.

– Arabom? Masz coś nowego?

– Tak. Ale nie Arabom, tylko temu ruskiemu profesorowi... Przedwczoraj znowu go podsłuchaliśmy. Dzwonił tym razem z Damaszku. Do Kairu, do Al-Barraka. Mówił, że ma problemy

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

z kilkoma kryształami. Że nie może uzyskać właściwej polaryzacji. Zażądał jeszcze 350 tysięcy.

– Dolarów?

– Tak.

– O cholera!!!

– He, he!... Ale przecież nie od ciebie! Nie przejmuj się... Strasznie się pokłócili o tę forszę. W końcu zagroził, że jak nie dostanie jej w ciągu tygodnia, to zabiera zabawki i idzie do domu.

– Świetny pomysł! Oby tak dalej, Jerry!... A co na to generał?

– Niestety w końcu zmiękł. Myślałem, że okaże się twardziellem, ale... Zapewnił, że pieniądze się znajdują, tylko że nie w ciągu tygodnia, nawet nie dwóch. I poprosił, żeby Strielov nie przekraczał już więcej ustalonego budżetu.

– Hmm... Niech się kłóć jak najdłużej! Jak tam wejdziemy, powinno być łatwiej... Może jeszcze raz spróbować go odszukać, co myślisz?... Czuję, że łatwo można by go było podkupić.

– Strielova? Pewnie tak, tylko gdzie go teraz szukać?... W Rosji już go nie ma, dzwonił z Damaszku, z Syrii. Mogli go schować właśnie w obawie przed nami. Może być dzisiaj równie dobrze w Kairze, co gdzieś w Sudanie, w Jemenie, w Libii, piorun wie! Wszędzie...

– Tak, ale nie zaszkodzi spróbować.

– Nie zaszkodzi, chociaż to będzie jeszcze trudniejsze niż znalezienie samych tabliczek.

– Ich już też może nie być w Iraku, Jerry... Hmm... Cholera!... A może jednak wycofać Fawcetta i zakończyć całą operację?

– To zawsze możemy zrobić. Nie zapominaj, że nie wolno nam przegrać tej rozgrywki. Tu przecież nie chodzi o prestiż... Gra toczy się o być albo nie być dla milionów ludzi.

– Cholera, wiem! Ale czuję, że drepczemy w miejscu.

– Pomyśl, skoro oni ciągle kontaktują się z Bagdadem, to chyba dlatego, że maszyna, tabliczki i to działo nie zostały jeszcze wywiezione. A jeżeli ciągle są w Iraku i jest tam Fawcett, to jest jeszcze jakaś minimalna szansa, że w końcu znajdzie ślad... Sam przecież mówiłeś, że to twój najlepszy człowiek... Nie do zdarcia.

* * *

Zaledwie trzy dni później, 20 marca, Stany Zjednoczone uderzyły na Irak. Oficjalnym powodem była chęć zmiecenia z powierzchni ziemi reżimu Husajna i zainstalowania na jego miejscu demokracji.

Irak podejrzewano o posiadanie broni masowego rażenia i wspieranie rozmaitych islamskich organizacji terrorystycznych. Niektórzy twierdzą, że podejrzewano o posiadanie jeszcze czegoś bardzo niebezpiecznego.

Cały czas trwa tam bezwzględna krwawa wojna. Wojna, która ma jeszcze jedno, mniej znane oblicze...

V

PATROL

Upał tego lipcowego popołudnia był nie do zniesienia. Słońce świeciło tak, jakby ktoś płacił mu za to ciężkie pieniądze. Ani odrobiny wiatru. Wszystko paskudnie kleiło się do ciała. Nawet kevlarowe hełmy były gorące.

To ma być rutynowy patrol. Objadą centralną dzielnicę Baku-by, zawrócą za kupą gruzów, która kiedyś była szkołą, zlustrują cherlawy park nad rzeką Dijala i jazda do domu, do obozu! I tak wiadomo, że o tej porze wszyscy siedzą w domach i czekają, aż gorączka minie.

Kiedy zbliżali się do parku, dwie potężne eksplozje targnęły prawie jednocześnie rozgrzanym powietrzem. Pierwszy hummer poleciał w górę i wylądował na prawym boku. Płonął jak pochodnia. Z czterech chłopaków żaden nie przeżył. Równy z eksplozją, z przodu i z lewego boku z tyłu, zaczęła się kanonada.

Drugi wóz, wiozący dowódcę, jadący szczęśliwie mocno z tyłu, nie nadział się na ładunek. Wybuch nastąpił przed nim. Rozwalił prawe okno pojazdu, kalecząc nieszkodliwie odłamkami twarz dowódcy. Szczęśliwie część impetu uderzenia przejął komin sterczący przed jego oknem.

– Kurwa mać! – ryknął Yoop, który woził Tommy’ego, bo był najlepszym wśród nich kierowcą.

Gwałtownie skręcił w lewo, wcisnął gaz, wpadł na pusty chodnik i po leżących pod ścianą belkach i deskach, rozwalając okno wystawowe, wjechał z impetem prosto do jakiegoś zamkniętego o tej porze sklepu.

Trzeci wóz też skręcił w lewo, staranował resztki cherlawej bramy i wjechał na sąsiednie puste podwórko.

Kiedy Yoop zatrzymał się na rozwalonej ladzie sklepowej, żołnierze, rozpychając drzwiami połamane regały z resztkami szyb, wyskoczyli z wozu.

Tommy przedzierał się przez przywalone gazetami, zmiążdżone skrzynki z pomidorami i kartony pełne papierosów. Wąskim i ciemnym korytarzem, z pustymi skrzynkami piętzącymi się aż po sufit, ruszył na tyły sklepu. Yoop, Vladek i André za nim.

Na ulicy, którą przed chwilą jechali, nastąpiła kolejna detonacja. To chyba ładunek przygotowany dla trzeciego wozu eksplodował dopiero teraz.

– Bob, gdzie jesteś? Odezwij się! – zawołał Tommy do mikrofonu.

– Jesteśmy w budynku za wami! Wpadliśmy na jakieś pieprzone podwórko... Wszyscy OK. Bez strat. – Usłyszał w słuchawkach.

– U nas też w porządku. Spróbujemy wyjść na sąsiednią ulicę, dołączcie do nas. Tylko ostrożnie, ubezpieczajcie tyły!... Pewnie sukinsyny zaraz tu będą.

– Zrozumiałem.

Strzały zaczęły bębnić po frontowej ścianie sklepu. Z brzękiem rozbijały resztki szyb, tkwiących jeszcze w górnej części okna. Słyszeli oddalone nawoływania napastników.

– André, wołaj o wsparcie! – krzyknął do radiowca, rozglądając się po sklepowym zapleczu. – Przecież nie będziemy tu nocować.

– Robi się!... Mamo, nasza Mamo, tu Jedyńka, odbiór! – wywoływał André. – Mamo, nasza...

– Jedyńka, tu Mama – usłyszał.

– Wpadliśmy w kocioł! Jeden wóz spłonął. Czterech chłopaków nie żyje. Reszta zdrowa. Czekam na wsparcie. Podaję pozycję... – Dowódca na mapie pokazał mu kwartał, w którym wylądowali. – Jesteśmy na EF-21, w jakimś sklepie blisko parku. Będziemy przedzierać się na południe. Przyślij kilka abramsów, odbiór.

– Potwierdzam EF-21, sklep blisko parku. Przedzieracie się na południe. Czekajcie, aż ktoś was odbierze, bez odbioru.

Byli w sklepowym magazynie. A raczej w rupieciarni.

– Zobacz, co tam jest – powiedział Tommy do Vladka, patrząc na zawaloną jakimiś gratami okiennicę.

Odstawili kilka przykrytych kurzem skrzynek z pustymi butelkami. Vladek zerwał girlandę pajęczyn i zaczął delikatnie uchylać od lat nieotwieraną okiennicę.

Silne światło natychmiast wypełniło pomieszczenie. Mrużąc oczy, usiłował najciszej jak to było możliwe otworzyć zardzewiałe, skrzypiące okno. Wreszcie wychylił głowę na zewnątrz.

To była uliczka na tyłach sklepu, równoległa do tej, którą jechali. Wydawała się zupełnie pusta.

– No i co?

– Cisza, pusto.

– To wyłaż... Tylko ostrożnie.

Vladek usiadł na parapecie, nogi spuścił na zewnątrz. Rozejrzał się jeszcze raz i wolno ruszył w lewo, wzdłuż muru. Pozostali gramolili się za nim.

Z bronią gotową do strzału, zakurzeni i spoceni, posuwali się w dziwnej ciszy, która teraz wypełniała tę rozpaloną popołudniowym słońcem uliczkę.

Drzwi w murze przed nimi po lewej zaskrzypiały. Vladek przyklęknął i skierował tam natychmiast swoje M16. Zobaczył głowę Petera z załogi trzeciego wozu. Kiwnął na niego, żeby wychodzili.

W tym momencie, jakieś sto stóp przed nim, zza rogu po lewej wyszedł uzbrojony w kałacha cywil. Zanim ich spostrzegł, rozległ się metaliczny, podwójny terkot M16. To Vladek wysłał go na spotkanie z jego Bogiem.

– Szybko, tam! – Tommy pokazał głową kierunek ucieczki.

Natychmiast pognali na drugą, zacienioną stronę ulicy i przez pusty otwór po oknie powskakiwali do opuszczonego, zrujnowanego budynku. Frontowa ściana z częściowo wypalonym oczodołem okna, stanowiła świetną zaporę przed bezpośrednim ogniem kałachów.

– Wszyscy na podłogę! Vladek i Bob, ze mną do okna, Peter, Yoop i André, osłaniacie tyły! Killy i „Pardon”, sprawdźcie, czy

tam z tyłu jest jakieś wyjście! Nie wychylać się niepotrzebnie, nie-
długo nasi przyjadą. Nie strzelamy, dopóki nie powiem. Jasne?!...
Nie chcę, żebyście skończyli tak jak Jerry.

Tommy, frontowy wyjadacz, działał jak automat. Wiedział, że
za wszelką cenę musi zachować spokój. Gdyby on wpadł w panikę,
byłoby już po nich. Ale na razie nie było powodów do paniki.
Nawet nie czuł strachu. Położył się przy lewym narożniku otworu
okiennego tak, by mieć podgląd na to, co dzieje się na zewnątrz
po prawej. Tam, gdzie był ten z kałachem. Pokrwawioną twarz co
chwilę wycierał kawałkiem bandaża. Sprawiał wrażenie, jakby nie-
wiele sobie z tego wszystkiego robił. Żołnierze, zerkając na pokie-
reszowanego dowódcę, też udawali chojraków, chociaż gacie mieli
pełne strachu. Przynajmniej niektórzy.

– Pięknie go trafiłeś, Vladek, tego sukinsyna.

– Dzięki! Trochę mi nie wyszło... Chciałem go tylko postra-
szyć.

– Nie rób jaj! Dostał prosto w turban. Piękny strzał! – Poklepy-
wali go z uznaniem.

W tej chwili z ulicy dobiegły jakieś nawoływania.

– Pod okno i cisza! – syknął.

Vladek i Bob wyjrzeni ostrożnie na zewnątrz. Dwaj zamachow-
cy pochylali się przy zabitym, a trzeci coś wrzeszczał i wymachi-
wał rękoma. Wszyscy uzbrojeni po zęby.

– Postraszymy ich? Za Jerry’ego, Teda, Vince’a i Smitha – szep-
tał Bob, przykładając broń do oka.

– Nawet o tym nie myśl! Siedzimy tu cichutko jak myszki – po-
wiedział Tommy, ściągając go na ziemię. – Musi ich być więcej.
Mogą mieć granatnik.

– Niech srają w gacie!... Chyba im się należy, nie?!

– Widzisz, że sufit ledwo wisi... Chcesz, żeby ci spadł na łeb?

– Kurwa! Jerry miał za dwa tygodnie wrócić do domu. Tak się
cieszył!... Tommy, muszę rozwalić tych skurwieli!

Boby szarpał się, próbując ułożyć przy oknie. Zupełnie puściły
mu nerwy. Peter i Vladek rzucili się na niego.

– Bobby, na ziemię! Natychmiast! I zmieniasz się z Peterem...
Peter, do okna! – warknął Tommy.

To ostatecznie przywołało Bobby'ego do porządku. Ten ton głosu dowódcy zdążyli już poznać. Był „niedyskutowalny”.

W tym momencie granat rzucony przez napastników odbił się od metalowej pozostałości żaluzji, wygiętej w stronę otworu okiennego, i eksplodował przy ścianie od strony ulicy. Odłamki przeorały wiszący nad nimi sufit, obsypując leżących tynkiem.

Po chwili rozpoczęła się kanonada. Pociski paru kałachów, wypuszczane krótkimi seriami, kaleczyły mur od strony ulicy i wewnętrzne ściany za plecami leżących na podłodze pod oknem żołnierzy. Tynk sypał się na głowy, powietrze pełne było pyłu. Kulili się pod ścianą okienną, dającą jako taką osłonę, w nadziei, że następny granat jednak nie wpadnie do środka. Oczy szczypały, nosy i usta pełne były pyłu.

Kiedy strzały ustały, Tommy podniósł się na łokciu i mrużąc oczy, ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Zauważył trzech leżących na jezdni z automatami skierowanymi w ich stronę. Chwilę później strzały zaczęły kaleczyć sąsiedni budynek. Po kilkunastu sekundach zapadła cisza.

– Nie odpowiadamy. Na razie nie są pewni, gdzie jesteście.

Po chwili, po prawej tuż za oknem, usłyszeli czyjeś kroki.

Tommy, nie ruszając się, spojrział w tym kierunku. Nie dalej niż dziesięć stóp od siebie zobaczył głowę w kominiarce. Komicznie wyglądał gość w kominiarce na głowie, bo upał, nawet tu, w cieniu, był nie do zniesienia. Ale sytuacja wcale nie była komiczna.

Kominiarczyk kałasza wetknął do środka i zdaje się, że patrzył w ich stronę. Był teraz może sześć stóp od Tommy'ego. Na szczęście nikogo jeszcze nie widział, bo mnóstwo pyłu wisiało ciągle w powietrzu, a zakończona przed chwilą kanonada skutecznie przykryła wszystkich leżących pod oknem kawałkami tynku, trzciny i tego wszystkiego, co pociski wyrwały ze ścian i z sufitu. Poza tym ulica cała była w słońcu, a tu panował półmrok.

Tommy wolniutko lufą swojej broni podązał w lewo, za przesuwającą się kominiarką. Każdy, nawet najcichszy dźwięk, mógł teraz zdradzić ich obecność, a wtedy zaczęłaby się jatka.

Peter leżący za prawym narożnikiem okna z gotowym M16 też już go widział. Kątem oka spoglądał na Tommy'ego, czekając na sygnał.

Tommy cieszył się w duchu, że Bobby nie wytrzymał i że na jego miejsce przy oknie wszedł Peter. Bo z Peterem już kiedyś był w bardzo podobnej sytuacji. Peter rozumiał Tommy'ego bez słów.

W tym momencie Tommy dostrzegł drugą kominiarkę. Jej właściciel zatrzymał się, twarzą odwrócony w kierunku ulicy. Peter nie mógł go jeszcze widzieć.

Nie było już ani chwili do stracenia. Tommy wyprostował na moment w jednoznaczny geście wskazujący palec lewej ręki, którą podtrzymywał automat.

Obaj żołnierze strzelili prawie jednocześnie. Krew bluznęła na ścianę, resztki okna i parapetu. Ten, który gapił się do środka, trafiony przez Petera dwoma strzałami w kominiarkę, przewrócił się w taki sposób, że zawisł w pół na murze. Tuż nad leżącym pod oknem Vladkiem. Drugiego prawie identycznie, tylko z tyłu, trafił Tommy. Ten upadł na zewnątrz. Żaden nawet nie krzyknął.

Leworęczny Vladek posłał jeszcze w stronę leżących na ulicy granat. Eksplozja zabiła co najmniej jednego.

– No to teraz się zacznie – powiedział dowódca, chowając się za murem.

Faktycznie, już po chwili zaczęli walić po całym budynku.

Mimo że już zupełnie nie było czym oddychać, wyciągnął pomiętą paczkę papierosów. Zawsze to robił, kiedy wokół było gorąco. Zauważył, że to dobrze wpływa na żołnierzy. Uspokaja ich. Vladek i Peter też zapalili.

– Ilu ich tam, kurwa, jeszcze jest?! – wołał Vladek.

Szczęśliwie mury są dość grube. Wszyscy skupili się pod ścianą frontową, tuż przy otworze okiennym. Nawet nie próbowali odpowiadać. Pociski z gwizdem przelatowały nad głowami i z głuchym dudnieniem wbijały się w przeciwległą ścianę.

– Jak z tyłu?! Jest jakieś wyjście?! – zawołał Tommy do mikrofonu, przekrzykując jazgot kanonady.

– Jest, na ulicę! Tam też jest kilku... Widzę sześciu. – Usłyszał w słuchawkach trochę chrypiący głos „Pardona”.

– Bob, idź do nich na tyły. Miejcie ich na oku i siedźcie cicho, jak tylko się da. Zaczniecie strzelać, dopiero gdy usłyszycie nasze strzały!... André, powiedz naszym, gdzie jesteśmy.

– Mamo, nasza Mamo, tu Jedyńka, odbiór... – wołał André.
– Jesteśmy na EF-21/22, w zniszczonym budynku. Zaczął się ostrzał! Kiedy będziecie?... OK, czekamy! Bez odbioru... Będą za jakieś cztery, pięć minut. Już jadą. Trzy Abramsy i Bradley.

– Szczęście, że jest ten mur. Pod takim kątem nie są w stanie wrzucić nam granatu. Peter, wystaw peryskop. Obserwuj ulicę.

– Nie podchodzą. Walą zza tego rogu, gdzie dostał ten pierwszy. I dwóch z głębi bramy z przeciwka po prawej.

– Dobra, bądźcie czujni.

Jazgot odbijających się od ścian pocisków z każdą chwilą się zmieniał. To narastał, to malał, w rytm wymienianych magazynków. Tynk sywał się na głowy, ale nikt już na to nie zwracał uwagi. Każdy oddech sprawiał w tej chwili fizyczny ból, gryząc w gardło. Zawieszona na rozwalonej ścianie zwłoka z kominiarką na głowie co chwilę podrygiwały, szarpane seriami pocisków, wystrzeliwanych zza rogu.

– Nie dość, że dostał od ciebie, to teraz dokładają mu jeszcze swoi! – zawołał leżący najbliżej Vladek.

– Widocznie go nie lubili! – odkrzyknął Peter.

Oczekiwanie na wsparcie wydłużało się w nieskończoność. Kulili się pod oknem w nadziei, że w końcu poczują jednak dudnienie terenu, powodowane przez sześćdziesięcotonowe Abramsy.

– Tommy, widziałeś, jak oni polecieeli? – krzyknął André, tak żeby zagadać strach.

Tommy nie odpowiedział.

Nagle kanonada ustała. Prawie natychmiast. Jednocześnie dobiegły ich nawoływania napastników.

– Są nasi! – Usłyszał w słuchawce głos Bobby’ego.

W tej samej chwili poczuli, jak wszystko pod nimi zaczyna drżeć.

- Jadą nasi! – wrzasnął.
- Widzę dwóch z RPG! – zawołał Bob.
- OK. Załatwcie ich! – powiedział do mikrofonu dowódca.

Usłyszeli cztery krótkie serie z M16, wystrzelone przez chłopaków na tyłach. Jednocześnie powietrzem targnął pobliski wybuch. Moment później dobiegł do nich odgłos wystrzału czołgowego. Tommy odruchowo spojrział na osypujący się sufit. Szczęśliwie ciągle jeszcze wisiał...

– Rąbnięło gdzieś za tym rogiem, skąd strzelają! – Peter cały czas obserwował sytuację na ulicy.

– Jedyńka, tu Fortel! Jedyńka, tu Fortel! – Rozległo się w słuchawkach André.

– Tu Jedyńka, odbiór!

– Jeśli jesteście ciągle w tym samym miejscu, to mamy do was minutę jazdy.

– Powiedz, niech przyleją trochę w lewo. W okolicy narożnika. – powiedział Tommy.

– No, wreszcie! Walnijcie trochę w lewo, przed narożnikowym domem! – zawołał. – Jesteśmy cały czas w tych samych ruinach.

– Zrozumiałem. W narożnik... Zaraz u was będziemy.

– Mają RPG! – krzyknął Peter obserwujący ulicę.

– Dobra, czas się pokazać! – Tommy poderwał chłopaków. – Wychodzimy! Peter, my tych w bramie, pozostali RPG!

Wyskoczyli na ulicę ponad leżącymi w kominiarkach zwłokami. Napastnicy, zaabsorbowani teraz czołgami zbliżającymi się uliczką prostopadłą do tej, nie zwrócili na nich uwagi. Żołnierze w tyralierze rzucili się na ziemię.

Usłyszeli wystrzał z armaty abramska i budynek wskazany przez André został pozbawiony narożnika, grzebiąc paru bojowników pod gruzami.

Rozpoczęła się kanonada z M16. Dwaj leżący w bramie i trzej z wyrzutniami rakiet przeciwpancernych RPG, mierzący z końca ulicy do abramsów, poszli już do rajy na spotkanie z licznymi hurysami. Czwarty, odskakując na bok, wystrzelił. Rakietę trafiła w pobliski budynek. Eksplozja wyrwała kawał muru. Poprawka od Vladka sprawiła, że i on natychmiast trafił do rajy.

W tym momencie Peter poczuł piekący ból w lewej ręce. Rozerwany rękaw zaczerwienił się od krwi. Okazało się, że w bramie był jeszcze trzeci, którego nie zauważyli. To on strzelał.

Peter, zaskoczony tym, co się stało, zdziwionym wzrokiem patrzył na rosnącą krwawą plamę.

Tommy puścił dwie krótkie serie w kierunku bramy. Obie niestety niecelne.

Nie zdążył się nawet poprawić. Seria z M240 pierwszego z abramsów rozerwała na strzępy cherlawą bramę i leżącego w niej strzelca.

Padli też dwaj z kałachami, leżeli tuż za rogiem.

Z tyłu budynku Bob, Killy i „Pardon” też nie próżnowali. Przez uchylone drzwi i okno grzali do tych na placu. Dwóch z RPG zastrzelili już wcześniej, jednego z kałachem przed chwilą. Ostatni nie chciał do raję. Zwiął im do domu. Możliwe, że do żony...

Żołnierze leżący na ziemi już widzieli pierwszego abramsa, który skręcił w ich ulicę. Jechał w ich kierunku. Ziemia zaczęła drżeć, jakby byli na moście. Czołg zatrzymał się tuż przed nimi. Za nim pojawił się drugi, który przejechał prosto i zatrzymał dopiero u wylotu prostopadłej ulicy. Mniej więcej tam, gdzie napastnicy zdetonowali ładunek przeznaczony dla trzeciego wozu. Bradley zatrzymał się w miejscu, gdzie pod gruzami leżało kilku napastników. Cztery żołnierze wyskoczyli spenetrować pobojuwisko. Trzeci z abramsów kontrolował sąsiednią ulicę, równoległą do tej, na której byli.

Było po walce.

– Co z tobą, krwawisz, jakby ci rękę urwało! – Tommy spojrział na ranę Petera.

Vladek właśnie zakładał mu opatrunek.

– Kurde, o mało mnie nie zabili, a ty sobie jaja robisz! Załatwiłbyś chociaż jakiś medal.

– OK, specjalny medal za zdercie naskórka. Załatwię ci u starogo... Wychodźcie z tej nory! Bob, słyszysz?... Zabierajcie się stamtąd!

Podnieśli się z ziemi. Wreszcie można było strząsnąć z siebie grubą warstwę pokruszonego tynku. I zapalić spokojnego papierośa.

– Fajnie, chłopaki, że wpadliście, ale impreza chyba już się skończyła. – Tommy przywitał pancerniaków, plując drobinami tynku i zaciągając się głęboko. – Przywieźliście chociaż piwko?

– Tak, ale ciepłe. Lodówka nam wysiadła. – powiedział, zeska-
kując z abramsa major Navarro, dowódca grupy Fortel. – Widzę, że
macie rannego... A gdzie polegli?

– Na drugiej ulicy. To był wóz Jerry’ego. Chodźmy tam.

Przeszli przez podwórko, na którym stał hummer Bobby’ego.
Abrams Clarcka ruszył okrężną drogą.

Wóz Jerry’ego jeszcze płonął. Palily się też dwa samochody
osobowe, parkujące w pobliżu miejsca eksplozji. Wokół zaczął się
już zbierać tłumek gapiów. Nie wiadomo skąd pojawili się nawet
dwaj iraccy policjanci, odpędzający natrętów.

Ciała były tak popalone, że trudno było rozpoznać.

Wiadomo tylko, który to był Vince. Kiedy wpadli w pułapkę,
stał w gnieździe km. Siła eksplozji wyrzuciła go z wozu. Jego cia-
ło, w mundurze na piersiach całym czerwonym i porozrywany
od serii, które dostał, leżało pod murem, jakieś trzydzieści stóp od
płonącego wraku pojazdu.

– Mamo, nasza Mamo, tu Fortel... Tak... Przyślij tu ekipę
z workami. Cztery ciała, trzy zwęglone. Spłonął jeden hummer.
Trzeba tu posprzątać. Innych strat nie ma... Poza jednym draśnię-
tym w rękę i dwoma pociętymi wozami... Bez odbioru... Swoją
drogą mieliście sporo szczęścia.

– Tak... Szczególnie Jerry. Za dwa tygodnie miał wrócić do
domu...

VI

OPERACJA „STORMBRINGER” – PRZEBUDZENIE

Następnego dnia wieczorem Tommy z André i Vladkiem siedzieli na przepustce w barze na tyłach kantyny. Duchota była nie do opisanego. Wiatrak na pełnych obrotach z furkotem miał rozgrzane, ciężkie od dymu powietrze. Dwa głośniki ujadły jakimś wściekłym rapem. Smętnie sączyli kolejnego budweisera.

W pewnym momencie podszedł do nich sprężyste mocno szpakowaty, na oko pięćdziesięcioletni, szczupły cywil i poprosił Tommy'ego o chwilę rozmowy na osobności.

– Panie poruczniku, nazywam się Henry Edwards. Jestem pułkownikiem w stanie spoczynku – przedstawił się, kiedy usiedli przy wolnym stoliku w kącie. – Pozwoli pan, że złożę panu wyrazy współczucia z powodu śmierci waszych kolegów. Wiem, co pan czuje. Sam wielokrotnie bywałem w takiej sytuacji...

– Dziękuję, ale chyba nie po to pan tu przyszedł, by mi współczuć – przerwał mu mało taktownie Tommy.

Nie lubił takich pieprzonych emerytowanych sztabowców, co to ślizgali się przez całą zawodową karierę, nie wachając nigdy prochu, nie wystawiając nosa zza biurka i ciulając kolejne awanse piorun wie za co, a teraz jeszcze przychodzą zwracać mu dupę jakimiś swoimi zasranymi interesami.

– Oczywiście... Jest mi niezręcznie, ze względu na okoliczności... Reprezentuję firmę Black Fire zarejestrowaną w Rhode Island. Chciałem zaproponować panu pracę u nas... Naturalnie po zakończeniu służby. Wiem, że za niecały miesiąc kończy się panu

kontrakt. Wiem również, że jest pan bardzo dobrym żołnierzem, profesjonalistą w każdym calu. Szukamy ludzi właśnie takich jak pan, którzy doskonale znają się na swojej robocie. Stąd moja propozycja... Zapali pan?

Wyciągnął dwa potężne cygara.

– Nie, dziękuję. Wolę swoje.

Tommy zapalił papierosa. Strasznie wkurzało go takie pieprzenie o profesjonalistach w każdym calu. Zawsze działało mu to na nerwy, a teraz szczególnie. Zginął Jerry, Smith, Vince i Ted, a ten przyłazi i dupę zawraca... I to jeszcze jakiś kutaфон z jakiejś pieprzonej Black Fire... Kiedyś już coś o nich słyszał, ale teraz za cholerę nie mógł sobie przypomnieć co. Wiedział tylko, że to jakieś dupki pieprzone, od jakichś uszatyh interesów. Albo odwrotnie... Chciał nawet mu przerwać, bo i tak gimnastykuje się chłop na darmo, ale w końcu co tam! Niech się męczy, gamoń jeden, skoro mu za to płacą, he, he, he!... Żeby nie myślał, że pstryknie palcami, a pieniążki same polecą z nieba... Zresztą i tak przecież nic nie zwojuje.

– Praca dla Black Fire... – ciągnął tymczasem Edwards, rozpalając długachne cygare – polega mniej więcej na tym samym, na czym służba w armii... Tyle że za o wiele większe pieniądze... Zresztą pewnie już pan o nas słyszał, co?

– Co nieco.

Przyjrzał się już dokładnie pułkownikowi. Hmm... Teraz, zza tych kilku butelek wypitego piwa, okraszonych chyba połową paczki papierosów, przecierał się nieco inny obraz niż jeszcze przed chwilą. Wstyd przyznać, ale pierwsza ocena nie była, kurde, chyba najtrafniejsza. Nie... Nawet zdaje się nieco chybiona. Tak gdzieś dwa, trzy cale od środka w lewo i w dół. Szczerze?... OK. Poszło w kulochwyty!... No i co z tego?... W końcu są, kurde, na przepustce, nie?... A poza tym wiadomo... Pieprzony, ciągły stres, pieprzony, cholerny upał, a na dodatek jeszcze, kurde, które to już piwo?... Tak czy inaczej, zdaje się, że Tommy nie miał przed sobą żadnego maminsynka. Blizny na twarzy gościa, pewność spojrzenia, a przede wszystkim jego ręce sugerowały, że naprzeciwko siedział nie jakiś sztabowy dupek uszaty, ale frontowy twarzą.

Bezlitosny, okrutny zabójca, co to w niejednym okopie leżał po pachy w gównie i sam udusił tymi żyłastymi łapami ze dwa bataliony wroga. Dwa?... Żarty?!... Trzy albo cztery!... Dwa to wciąga nosem na kolację i to tylko jedną dziurką!... Tommy'emu zrobiło się trochę wstyd. Pomyślał że, kurde, takiego gościa nie wypada traktować tak obcesowo.

– Dzięki za wyrazy współczucia. Z jednym z nich byłem bardzo zżyty. Razem tu przyjechaliśmy i razem mieliśmy wrócić... Byliśmy wczoraj na patrolu. Centralnie nadziali się na ładunek i już go nie ma... Taka to, kurde, pieprzona robota!

Pociągnął duży łyk.

– Doskonale pana rozumiem. Ja też nie tak dawno straciłem tu dwóch przyjaciół. Tylko że nawet nie wiem, jak i gdzie zginęli.

– Przykro mi... – Tommy pomyślał, że nie wypada go zwodzić i dalej ciągnąć tej rozmowy. – Dzięki za propozycję, ale przyznam, że zamierzałem trochę odpocząć od tego gnoju... Jestem zmęczony. Mam już dosyć... To zaczyna przypominać polowanie, tylko że z nami w roli zwierzyny, a nie myśliwych...

– Rozumiem pana. Pod koniec kontraktu każdy ma dosyć i marzy tylko, żeby jak najszybciej wrócić cało do domu, zobaczyć się z bliskimi... Gdyby jednak pan się zdecydował, zagwarantowalibyśmy panu należny urlop. W tej chwili jest pan przygnębiony, znam tę sytuację. Jeszcze raz proszę mi wybaczyć. Jadąc tu, nie wiedziałem o wczorajszym incydencie. Inaczej w ogóle nie zawracałbym panu głowy. Dowiedziałem się o wszystkim przed chwilą od pułkownika Ryana.

– OK. Nie mam do pana żalu, ale naprawdę nie chcę dłużej tu zostawać... – Spojrzał pułkownikowi prosto w oczy. – Ten ciągły stres. W ciągu roku człowiek starzeje się tu o... Cztery lata... Odśłużę, co mi zostało, i spierniczam stąd!... Czas zająć się czymś innym niż zabijanie ludzi. Póki nie jest jeszcze za późno! – Dopił resztę piwa.

– Proszę nie podejmować jeszcze ostatecznej decyzji... Lepszej i ciekawszej oferty nie otrzyma pan nigdzie. Wiem, co mówię. Nasza firma zatrudnia elitę, ale też warunki, jakie stwarzamy, są elitarne.

– Wierzę... Ale naprawdę dziękuję.
– Jeżeli pan nie, to może któryś z kolegów?
– Nie wiem... Nie rozmawialiśmy o tym... Jak długi kontrakt pan proponuje, gdzie konkretnie i za ile? – zapytał w końcu w nadziei, że pułkownik da mu wreszcie spokój.

– Tutaj, w Iraku. Okolice na wschód i południe od Bagdadu. Głównie w naszej strefie, ale również trochę w polskiej. Formacja to piechota zmechanizowana, bardzo nowocześnie wyposażona. Towarzystwo międzynarodowe, ale głównie nasi i Polacy. Trochę Francuzów, kilku Ukraińców. Najwięcej z jednostek specjalnych. Co do honorarium, zależy od długości kontraktu i stopnia. Proponujemy, aby objął pan stanowisko dowódcy drużyny. Im dłuższą podpisze pan umowę, tym większa progresja. Z reguły zawieramy jednak kontrakty trzymiesięczne. Wie pan, sytuacja jest niepewna.

– Jak to na wojnie.

– No właśnie... Główne zadanie to kompletowanie talii prezydenta. Za każdy tydzień pięć tysięcy plus pełne ubezpieczenie na zasadach identycznych jak w armii. Dodatkowo, w zależności od stopnia trudności, premie za udział w zadaniach specjalnych zakończonych powodzeniem...

Obserwując Tommy'ego i czekając na jego reakcję, Edwards ponownie rozpałał cygaro. Reakcji jednak nie było, więc dodał:

– I na to chciałbym zwrócić pańską uwagę...

– Słucham, słucham. Cały czas, kurde, pilnie słucham!

– Jak panu wiadomo, Irak to Sumer, to kolebka cywilizacji... Nie tylko śródziemnomorskiej, ale w ogóle, cywilizacji człowieka. Czasy, kiedy na Ziemi pojawili się bogowie, chodzili wśród ludzi, płodzili z Ziemiankami herosów, półbogów. Wspaniałe czasy, proszę pana... Według Hindusów czy Greków złoty wiek w historii Ziemi. Później było już tylko gorzej.

– Bajki, panie pułkowniku!

– Bajki? – Zachnął się. – Ale jakie piękne!... – Nachylił się bliżej i patrząc Tommy'emu prosto w oczy, powiedział ciszej: – Obaj wiemy, że nie bajki... Ta ziemia gdzieś głęboko – postukał parę razy palcem w stół – kryje pozostałości cywilizacji o takim pozio-

mie rozwoju, o jakim dopiero współcześnie zaczynamy mieć pojęcie... Cywilizacji bogów... – dodał z naciskiem, wypuszczając kłąb dymu. – Pewne poszlaki wskazują, że ludzie Saddama ukryli przed światem nie tylko broń masowego rażenia. Pochowali również... – Szukał właściwych słów, żeby nie powiedzieć za dużo. – Nazwijmy to ogólnie... wykopaliska, eksponaty. Bardzo interesujące przedmioty z naszego punktu widzenia. Ja nie jestem archeologiem. A jestem tu właśnie ze względu na owe wykopaliska... Nic więcej na razie nie mogę panu powiedzieć. Dodam tylko, że zamierzam szukać rzeczy z najwyższej półki. Nie gwarantuję, że to znajdziemy. Ale... – Znowu wypuścił obłoczek. – Gdybyśmy jednocześnie znaleźli właśnie to i broń masowego rażenia, to tą ostatnią nikt nie zaprzętałby sobie głowy... Tego może pan być pewien... Nie przypadkiem właśnie panu proponuję współpracę. Wiem, że historia Sumeru jest pańskim konikiem. Zapewniam, że właściwie przygotowałem się do tej rozmowy i wiem, z kim rozmawiam...

– Widzę! Wreszcie chyba użył pan właściwej przynęty!... Tylko, kurde, dlaczego nie zaczął pan od tego, a od jakiejś cholernej talii prezydenta?

– Bo, jeszcze raz powtarzam, nie mogę zagwarantować, że na te rzeczy trafimy... A z czegoś przecież trzeba żyć... Może tylko to nam pozostanie, kto wie? Nie mam żadnej pewności... Ale liczę na więcej.

– Tak...

Tommy zapalił kolejnego papierosa. Zaciągnął się dwa razy głęboko. Może dym, a może to, co przed chwilą usłyszał, trochę go otrzeźwiło.

– Dowodzenie drużyną to niedużo, jak na moje doświadczenie.

– Rozumiem pańskie ambicje, ale w tej chwili poszukujemy dowódcy dla nowo formowanej drużyny. Praca dla Black Fire, mimo że podobna, to jednak nie całkiem to samo, co służba w dużych jednostkach US Army. Nasze oddziały są znacznie mniejsze, ale za to składają się wyłącznie z wysokiej klasy specjalistów. Drużyny są niezależnymi jednostkami operacyjnymi. Wyżej zorganizowa-

nych jednostek nie mamy. Nie ma takiej potrzeby... Wyżej stoję ja, ale nie biorę bezpośredniego udziału w akcjach. Jestem na to już za stary... Proponuję panu stanowisko może niezbyt wysokie, ale i tak najwyższe.

– Oczywiście pańscy pracownicy nie podlegają konwencji genewskiej o postępowaniu z jeńcami?

– Oczywiście... Dlatego takie zarobki.

– Tak... No cóż... Dziękuję bardzo za ofertę. Muszę sprawę przemyśleć. Wie pan, nastawiłem się już na powrót do domu... Propozycja jest kusząca. Szczególnie dla mnie, tylko że, cholera, burzy wszystkie moje plany... Rozumiem, że mam jeszcze czas, tak?

– Naturalnie. Umowę i tak możemy podpisać dopiero po zakończeniu służby. Jesteśmy firmą amerykańską. Respektujemy przepisy... Proszę rozważyć, co panu powiedziałem. Ryzyko jest stosunkowo niewielkie, zarobki chyba nie najgorsze, natomiast praca, szczególnie dla pana, może okazać się niezwykle interesująca. Tego może pan być pewien. Proszę, to jest mój numer – podał Tommy'emu wizytówkę. – Jeżeli podejmie pan decyzję, proszę dzwonić... Na mnie już czas. Dziękuję za rozmowę. Życzę, by reszta służby upłynęła panu szybko i w dobrej formie... Do widzenia – podał Tommy'emu rękę i wyszedł.

– Kto to był? Łowca jeleni? – zapytał Vladek.

– Tak, z Black Fire.

– Słyszałem o nich! To podobno świetna fucha. Jakies trzy, trzy i pół kawałka za samo siedzenie na dupie w obozie. A do tego takie żarcie! – chwalił André. – Tylko nie każdemu sukinsyny proponują.

– Tak. Tylko że jak cię te kurewskie arabusy złapią w mundurze naszej armii, to masz przesrane. A jak cię złapią z giwerą i bez munduru albo we wdzianku jakiejś zafajdanej Black Fire, to wtedy, chłopie, już naprawdę masz przesrane! Umarł w butach! Nie podlegasz konwencji o jeńcach, nie dostajesz żadnego zafajdanego obiadku! – perorował Vladek.

– A tu podlegasz?!... To komu wczoraj czajnik podziurawiłeś? Żołnierzowi armii irackiej czy pieprzonemu terroryście?!... Widziałeś, jak załatwili Jerry’ego?! Wypadł z wozu, był ranny i bez broni. Albo nawet już nie żył. To skurwysyny zrobili z niego tarczę!... Nie ma znaczenia, chłopie, w czym cię te bydlaki złapią! I tak masz prze–je–ba–zione! – wyskandował. – Ja tam bym się zdecydował, jakby mi tylko zaproponowali. Natychmiast! Tyle kasiory!... Przez parę lat nie zarobisz!

– Może, kurwa, masz rację... W gruncie rzeczy Jerry’emu było wszystko jedno, w jakim wdzianku się zjarał. A jak masz szczęście, to można faktycznie nieźle klopsu nagarnąć – przyznał w końcu Vladek, gasząc papierosa. – To co, złowił cię, Tommy?

– Na razie nie... Pieprzyć to, wracamy!

VII

NA ZAWSZE IRAK

– Dzień dobry, pułkowniku, tu Thomas Page. Czy pańska propozycja w dalszym ciągu jest aktualna?

– Witam serdecznie! Cały czas! Przyznam, że nie byłem pewien, czy pan zadzwoni. Tym bardziej się cieszę... Jak minęły ostatnie tygodnie?

– OK. Bez niespodzianek. Ale już nie mogłem się doczekać.

– Świetnie! Słyszałem, że awansował pan o oczko.

– Tak. Jak zwykle przed końcem.

– Gratuluję! To zmienia troszeczkę warunki naszej umowy...

– Moja cena wzrosła, tak?

– No właśnie. Ale szczegóły omówimy, gdy się spotkamy. Kiedy dokładnie pan kończy?

– Pojutrze. W czwartek zaczynam urlop.

– Proponuję wobec tego spotkać się jeszcze dzisiaj i omówić wszystko, żeby zdążył pan dać znać Ryanowi, czy wraca pan do kraju, czy zostaje u nas.

– Dobrze. O 18:00 będę wolny.

– Wobec tego przyjadę o 18:30. Zabieram pana do hotelu Rashid. Do naszej siedziby.

– Świetnie. Czekam o 18:30. Aha... Mam tu jeszcze jednego chętnego do pańskiej firmy... To sierżant, z dużym doświadczeniem. Kończy razem ze mną. Oceniam jego umiejętności bardzo wysoko. Ma pan może coś dla niego?

– Proszę zaczekać chwileczkę... – Edwards z kimś się konsultował. – ... Dobrze, niech będzie z panem.

– Zatem do wieczora – powiedział Tommy, wyłączając telefon.
 – André, bucu jeden, wieczorem stawiasz piwo! Całe wiadro piwa!
 O 18:30 będzie pod koszarami. Jedziemy do hotelu Rashid obejrzeć z góry panoramę Bagdadu!

– Pieprzysz?!... Poważnie?! – Przybili piątkę. – Tak od razu się zgodził?!

– Przecież słyszałeś.

– Gówno. Nic nie słyszałem!

– Zgodził się! Powiedział, że mięsa armatniego nigdy za wiele. Ale na początek pójdziesz do kuchni... Obiadki, jarzysz, nie?... Co się tak głupio gapisz?... Tylko na miesiąc.

– Nie pieprz głupot! Nic takiego nie powiedział!... Co nieco jednak słyszałem... Pięknie, kurwa! Pięknie!

Z radości aż walnął pięścią w szafę. Już widział te rulony zielonych banknotów wypychające kieszenie jego nowego munduru. Góry kasiory zarobione na trenowaniu leżenia bykiem na koi w obozie. Jakie życie jest piękne!

– Ciekawe, na ile z nami podpiszą?... Może na rok albo półtora... – Rozmarzył się.

– André, czy ty już od urodzenia jesteś taki pierdalnięty?!... Podpiszą na nie więcej jak kilka miesięcy! Też będziesz miał dosyć, zobaczysz. Nikt nie wytrzyma tu dłużej!... Poza tym, nikt ci nie da kasy tylko za to, że ty jesteś jakiś pierdalnięty André. To będzie, chłopie, straszna harówka!... Jak ci dupy nie odstrzelą razem z jajami, tylko po kolei, to już będziesz dużym farciarzem.

* * *

Pułkownik przyjechał jeepem pod bramę obozu dokładnie o umówionej godzinie.

– Witam panów. To mój kierowca i asystent, Scott Davies – przedstawił szofera o wyglądzie Rambo.

– Kapitan Page.

– Sierżant Fleetwood. André Fleetwood.

Fragment książki udostępniony dzięki uprzejmości autora.

– Edwards. Miło mi, sierżancie, że również pan postanowił skorzystać z naszej oferty. Wsiadajcie. Zapraszam panów na drinka do naszej siedziby. Tam omówimy szczegóły.

„Rambo” Davies ruszył z kopyta. Po dwudziestu minutach łamania wszelkich miejscowych przepisów zatrzymali się w końcu na ulicy Yafa. Byli na miejscu.

Hotel Al-Rashid należał do tych nielicznych luksusowych obiektów w Bagdadzie, które w ogóle nie ucierpiały w trakcie działań wojennych. Dlatego tutaj przeniosło się sporo przedstawicieli różnych podejrzanych i całkiem legalnych firm, którym szczególnie zależało na prestiżu. Wejścia strzegło dwóch irackich policjantów.

W środku, dzięki pracującej na pełnych obrotach klimatyzacji, panował przyjemny chłódzik. Ekipa CNN właśnie kręciła wywiad z jakimś lokalnym notablem, ustawionym plecami do przepięknej fontanny.

Edwards zaprowadził ich prosto do windy.

Wjechali na siódme piętro. Długim korytarzem, po pięknym czerwonym chodniku, dotarli do apartamentu ozdobionego tabliczką „Black Fire Ltd. International Security. Providence, Rhode Island, USA” z czarnymi płomieniami w oryginalnym logo firmy. Poniżej była druga, mniejsza tabliczka z bagdadzkim adresem przedstawicielstwa.

„Na siedzibę firmy zajmującej się wojną nie mogli wybrać lepszej miejscowości⁶” – pomyślał Tommy.

Wejścia pilnował ochroniarz w granatowym uniformie, z naszywką z logo firmy i nieodłącznym M16 na ramieniu. Posturą przypominał „Rambo” Daviesa. Otworzył drzwi, prężąc się przed pułkownikiem.

Silny zapach porządnych damskich perfum uderzał już od progu. Bo za progiem, jakżeby inaczej – długonoga, wdzięcząca się blondyna, w liliowej ekstraminiówce, konwenującej z tylko o kilka tonów ciemniejszym kolorem ścian, wyposażona w ekstrapa-nooookie konwenującej i z ekstraminiówką, i z kolorem ścian,

⁶ Providence (ang.) – Opatrzność.

bo tylko o dwa tony ciemniejsze od tych ostatnich. W superszpilczkach w kolorze paznokci założonych na zgrabne, opalone nóżki, na tle futurystycznych, zupełnie przezroczystych mebli z grubej pleksi, cała piękna i pachnąca, czekała już, by powitać gości.

– Panowie, pozwólcie, panna Mary Robinson, moja sekretarka – przedstawił ją pułkownik.

– Tommy Page, miło mi. – Kapitan podał jej dłoń, myśląc, że skoro posługują się aż taaaką przynętą, to pewnie warunki, jakie ma do zaoferowania Black Fire, wbrew zapewnieniom pułkownika, nie będą rewelacyjne.

Uśmiechnęła się pięknie w odpowiedzi.

– André... André Fleetwood – dukał sierżant, dostając maksymalnie maślanych oczu po zapuszczeniu żurawia w głęboki dekolot ekstrablondyny. – Cieszę się niewymiernie... Niewymownie! – Poprawił się.

– Witam, żołnieeerzu..... – odpowiedziała przeciągle, tak jak to tylko takie blondyny potrafią, patrząc na André powłóczyyyyście.

Pułkownik zaprowadził ich do swojego gabineeeetu, *pardon*, gabinetu.

– Czego się napijecie, panowie? – zapytał.

– Dla mnie bourbon, jeśli pan ma, bez lodu – odrzekł Tommy.

– A dla mnie z lodem! Mnóstwo lodu!... Jak zobaczyłem pana sekretarkę, wysiadło mi chłodzenie.

– Wierzę! Siadajcie... – Wskazał ogromne skórzane fotele.

Posłusznie zapadli się w nie z rozkoszą.

– Nie panu pierwszemu. Szczególnie po tak długiej służbie... Proszę. – Podał im szklanki i podsunął humidor z cygarami. – Wypijmy za szczęśliwy koniec waszej służby w US Army i nie mniej szczęśliwy początek pracy w Black Fire... Pozwólcie, że teraz zapoznam was ze szczegółami oferty.

Po dwudziestu pięciu minutach, dwóch następnych kolejkach ekstraktu z najlepszej amerykańskiej kukurydzy z Kentucky, oczywiście modyfikowanej genetycznie i oczywiście w płynie, i po jednym cygarze z komunistycznej Kuby na twarz, stanęło na trzy-

miesięcznym kontrakcie dla obu żołnierzy. Podstawowe tygodniowe honorarium dla kapitana ustalono na xxxx⁷ dolarów, natomiast dla sierżanta na xxxx⁸. Tommy, zgodnie z ofertą, został dowódcą nowej drużyny, André jego podkomendnym. Dodatkowe honoraria, za schwytanie poszukiwanych listami gończymi, ustalane będą na bieżąco, w zależności od oferowanej przez armię USA kwoty. Udział kapitana będzie wynosił osiem procent, natomiast sierżanta trzy i sześć dziesiątych. Firma gwarantuje pełne ubezpieczenie na warunkach identycznych jak armia Stanów Zjednoczonych.

– Z podpisaniem umowy wstrzymamy się do czwartku. Jak opuścicie jednostkę, Davies przywiezie was do naszego obozu. Tam sfinalizujemy kontrakt i zostanieie zakwaterowani. Pracę rozpoczniecie 16 sierpnia. Najpierw trzeba, żebyście porządnie odpoczęli, zabawili się trochę... Jakieś pytania?

– Konwojowanie, patrole, ochrona i wyłapywanie blotek z prezydenckiej talii. To zadania rutynowe. A te zadania specjalne? – dopytywał Tommy.

– Nie przewidujemy żadnych zmasowanych akcji w stylu zdobywania ufortyfikowanych baz wroga, jeżeli to miał pan na myśli. Dysponujemy bardzo nowoczesnym sprzętem, ale to nie jest sprzęt ciężki. Te zadania spoczywają na naszej armii. Poza tym nasi ludzie są zbyt dobrze wyszkoleni, byśmy mieli posyłać ich na akcje tego typu.

– Miałem na myśli to, o czym mówił pan w trakcie naszego pierwszego spotkania.

– A, prawda! Przepraszam, nie zrozumiałem... O tym dowiecie się, panowie, w swoim czasie. Na razie przykro mi, ale nie mogę podać żadnych szczegółów... Sierżancie, wszystko jasne?

– Istnieje możliwość przedłużenia kontraktu? – zapytał André.

– Oczywiście. Niektórzy z naszych ludzi zostają dłużej. Ale nie wszyscy. To jednak bardzo ciężka służba. Ale jeżeli tylko będzie miał pan ochotę... Zobaczymy. Coś jeszcze?

– Na razie wszystko jest jasne... Prawie wszystko... – Tommy odpowiedział za obu. – Dzięki za drinka!

⁷ Tajemnica umowy handlowej.

⁸ Jw.

– I za cygaro! – wtrącił André.

– Ja również dziękuję. Davies odwiezie was do jednostki – powiedział pułkownik, wstając i ściskając im dłonie. – Pozwólcie, że już się z wami pożegnam. – Przez sekretariat odprowadził ich do drzwi wyjściowych.

– Do zobaczenia, panno Mary! Miło mi było panią poznać. Aż chce się pracować dla firmy zatrudniającej takich pracowników! – Ślinił się André, chcąc wyrzucić na blondynie najbardziej piorunujące wrażenie ze wszystkich wrażeń możliwych do wywarcia. Swoją elokwencją sam był zszokowany.

– Do zobaczenia, sierzaaaancie... – Mary ponownie posłała mu takie spojrzenie, że André po raz drugi chłodnica odmówiła posłuszeństwa.

– Do widzenia – pożegnał się Tommy, wychodząc na korytarz.

* * *

– Davies, macie tu, w firmie, więcej takiego towaru?! – Podpalał się André, kiedy zjeżdżali windą.

– A jak! W każdym wozie jeździ taka lala! Szef dba o to osobiście. Ma specjalnie wyprofilowaną kamizelkę, żeby się jej cycki mieściły. I hełm pod kolor paznokci.

– Na rękach czy na nogach? – Ustalał André.

– I tu, i tu ma jednakowy kolor. Właśnie ze względu na hełm – wyjaśnił Davies. – Chłopakom od razu lepiej się strzela, mają więcej odwagi. I w ogóle... Rozumiesz, nie?... Nie nudzą się w trakcie konwoju! He, he, he!

– Pieprzysz?!... A ta Mary, znasz jej adres?... Ma kogoś?

– Co ty! Nikogutko z nią nigdy nie widziałem. Jak bonie dydy!... A podobno najbardziej lubi sierżantów! Tak przynajmniej szef mówi.

– Pierniczysz?!

– Nic nie pierniczę. Mówię, jak jest. Leci na ciebie jak nie! Wi- dać to na pół mili... Przemysł to, chłopie.

– Nie musisz mi dwa razy powtarzać. Zobaczysz!... Tommy, kiedy my wreszcie zjemy jakiś pieprzony obiad?!